



Shirley Jump

Piknik pod palmami

Tytuł oryginału: Her Frog Prince
Jak w bajce.....03



BAJKA O KRÓLEWICZU ZAKLEŹYMY W ŻABĘ

Dawno, dawno temu księżniczce wpadła złota kula do głębokiej zimnej studni. Księżniczka wybuchnęła płaczem. Bardzo lubiła swoją kulę i za wszelką cenę chciała ją odzyskać. Nagle zobaczyła żabę.

Dostaniesz kulę - powiedziała żaba - jeśli zabierzesz mnie do siebie i pokochasz.

Dobrze - zgodziła się księżniczka, myśląc, że głupia brzydka żaba i tak zostanie w wodzie.

Potem chwyciła kulę, przycisnęła ją do piersi i pobiegła do domu, zapominając o swej obietnicy. Niestety żaba na drugi dzień zjawiała się w pałacu. Księżniczka trzasnęła drzwiami, ale jej ojciec powiedział, że powinna dotrzymywać słowa. Z przerażeniem spoglądała na oślizgłe i pokryte brodawkami stworzenie, lecz bez sprzeciwu zabrała żabę do siebie.

Gdy jednak została sama w sypialni, cisnęła ropuchą o podłogę.

- Daj mi spokój, wstrętna żabo! - krzyknęła ze złością.

Ale kiedy żaba zmieniła się w pięknego królewicza, księżniczka natychmiast zgodziła się dotrzymać słowa.

PROLOG

Merry Montrose siedziała na pokładzie „Lady's Delight”, wycieczkowego statku należącego do kurortu La Torchere, starając się przybrać dobrą minę. No cóż, była stara, a starość nie radość. Na szczęście klątwa, jaką rzuciła na nią matka chrzestna Lissa, niedługo zostanie zdjęta. Wystarczy tylko wyswatać trzy pary, a skoro połączyła z sobą już osiemnaście, więc kolejne trzy to drobiazg. Potem odzyska swą dawną postać i znów będzie księżniczką Meredith z Silestii. Na zawsze pożegna się z gorsetem i przeciwzylakowymi rajstopami. Dziś panował taki upał, że przekleństwo Lissy stało się jeszcze bardziej dokuczliwe. Powietrze było lepkie i gęste, jakby zbierało się na burzę.

Merry wcześniej przyszła do portu, żeby zająć najwygodniejszy leżak na statku. Co prawda jako kierowniczką ośrodka hotelowego La Torchere powinna myśleć przede wszystkim o gościach, ale starość ma przecież swoje prawa. Chyba każdy widzi, jak pomarszczona jest jej twarz. Wzdrygnęła się, nie chcąc nawet o tym myśleć.

Westchnęła, patrząc na żyłki na nogach i starcze plamy pokrywające dłonie. Już niedługo znów wróci jej młodość, a pomarszczony będzie tylko ulubiony kostium z lnu.

O ile wcześniej nie zabije jej ten upał. Kiedy statek

wreszcie odbije od brzegu, morska bryza sprawi, że zrobi się trochę chłodniej. Wtedy Merry przestanie się nawet martwić tym, że nieuchronnie zbliżają się jej trzydzieste urodziny. A miała się czego bać, bo jeśli przed tą okrągłą rocznicą nie ukończy matrymonialnej misji, już na zawsze zachowa starczą postać.

Merry za swe przewiny została zmuszona do opuszczenia królestwa Silestii, którym władała jej rodzina, i przeniesienia się na wyspę leżącą u południowo-zachodniego wybrzeża Florydy. Kiedyś pracowała jako prawnik w wielkiej korporacji. Teraz, pozbawiona rodowego nazwiska, dyplomu prestiżowej uczelni, urody, pieniędzy i rodzinnych koneksji, mogła zatrudnić się jedynie jako kierowniczką kurortu La Torchere.

Zresztą i tak zdobycie tej posady, dla wielu osób mogącej być zwieńczeniem kariery zawodowej w branży hotelarskiej, wymagało posłużenia się czarami. Dzięki Bogu odziedziczyła talent do białej magii po przodkach.

Spadła więc na nią klątwa i otrzymała zadanie-pokutę, lecz jakby tego było mało, matka chrzestna Lissa, która ową klątwę rzuciła, niczym żandarm śledziła poczynania Merry i co rusz wtrącała swoje trzy grosze. Pod nazwiskiem Lilith Peterson zatrudniła się w La Torchere jako recepcjonistka, pilnowała, żeby Merry nie zdradziła swej prawdziwej tożsamości ani nie odprawiała czarów w obecności ludzi. Teraz Lissa dodała jeszcze jeden trudny warunek: w ogóle zabroniła córce chrzestnej białej magii, ponieważ ostatnio zbyt często z niej korzystała. Tylko co bez czarów może działać stara, schorowana kobieta?

Goście zaczęli wchodzić na pokład. Ostatnią osobą wsiadającą na statek - oczywiście na ośmiocentymetro-

wych szpilkach od Prady - była Parris Hammond. Kiedyś, gdy Merry była jeszcze księżniczką Meredith, studiowały razem na uniwersytecie. Parris przyjechała kilka tygodni temu na wyspę, żeby zorganizować aukcję dobroczynną, takie bowiem zlecenie otrzymała jej firma, którą prowadziła wraz ze swoją siostrą Jackie.

Pyskata Parris. Wstrętna Parris. Przeklęta Parris.

Jakie przezwisko można by jeszcze wymyślić? Każde, byle jak najgorsze.

W życiu Merry wiele się zmieniło od czasu ukończenia studiów, ale panna Hammond pozostała taka sama.

Parris właśnie wzięła menu z rąk młodszego kucharza i od razu zaczęła jazgotać:

- Coś podobnego! Na lunch będzie tylko herbata i warzywa!

To dom opieki społecznej czy kurort?!

Chudy kuchcik miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Ależ zapewniam panią, że kanapki z grzybami portabello i brokułami, które przyrządza nasz szef, są wspaniałe i sycące.

Stek jest sycący. Homary są sycące. Ale grzyby to grzyby! -

Wyciągnęła z torebki dyktafon. - Uwaga numer jeden: sprawdzić menu na aukcję. Kto będzie miał pusty żołądek, wyniesie w kieszeni pełny portfel.

Parris, niezmienna od lat Parris. Powinna na chrzcie dostać imię Zmora.

Czy mogę pani coś podać, pani Montrose?

Wodę z lodem poproszę. Dużo lodu.

Czy macie zamiar sterczeć tu do zmroku? -Parris postukała

obcasem o drewniany pokład. - Jesteśmy spóźnieni dziesięć

minut. O trzeciej mam spotkanie z Phipps-Stoverami. No jak?

Odpływamy czy nie?!

Młodziutki marynarz aż odskoczył od tej wściekłej furii.

- Już odpływamy, proszę pani - nieledwie wydukał.

Kiedy odbijali od brzegu, Merry pomyślała, że Parris Hammond jest jak bolesny wrzód na pewnej części ciała i aż się prosi o radykalną interwencję. Na przykład o kopniaka, kiedy w różowym eleganckim kostiumie wypnie ową część ciała przy burcie. A potem niech ją znajdzie jakiś rybak... w brzuchu rekina.

Merry uśmiechnęła się, bo statek właśnie mijał małą pontonową łódkę, na której siedział zarośnięty młody człowiek. Hm... Nie, rekina sobie darujmy, pomyślała. Ta zołza może się jednak do czegoś przydać. Takiej pary jeszcze nie było. Zadzierająca nosa Parris i mężczyzna, który całymi dniami łowi ryby!

Merry uwielbiała wyzwania, a zestawienie upiornej snobki z luzackim wędkarzem było nie lada zadaniem. Poza tym Parris była tak rozgorączkowana i pobudzona, że z pewnością przyda jej się trochę zimnej wody na ochłode.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

No jest! Wspaniała, gładka, różowiotka kałamarnica! Wprawdzie tak naprawdę uganiał się za jej kuzynem, w którego istnienie poza nim nikt nie wierzył, ale i tak była wspaniała, choć zwykły śmiertelnik na widok zdobyczy Brada Smitha mógłby poczuć się niedobrze. Albo, co gorsza, chciałby ją zjeść, bo są kraje, gdzie ten głowonóg uchodzi za przysmak.

Brad pochylił się, żeby wyciągnąć cenne trofeum z oceanu. Dzięki swemu znalezisku zdobędzie dodatkowe punkty, kiedy za dwa tygodnie przedstawi wyniki badań na spotkaniu z komisją Narodowej Fundacji Badań Morskich.

Jedynym rezultatem jego całonocnej pracy był do tej pory tylko spalony nos - bo znów zapomniał posmarować się maścią cynkową - i trzy martwe makrele, zapewne wyrzucone do wody przez rybaków, którym wpadły w sieci podczas połowów wielkich tuńczyków i marlinów.

Różowy cień przesunął się tuż pod powierzchnią wody. Brad powoli zanurzył sieć, żeby nie przestraszyć głowonoga, drugą ręką chwycił wiosło i skierował łódkę w lewo. Powoli. Spokojnie. Teraz ostrożnie, znów nadpływa.

Schylił się i... tuż za jego plecami rozległ się głośny krzyk i plusk, który spłoszył mewy, ryby i wszystkie żywe stworzenia w promieniu co najmniej dwustu metrów.

Brad zaklął pod nosem i wrzucił do łodzi pustą sieć. Kiedy odwrócił się, zobaczył oddalający się wycieczkowy statek, który spowodował takie fale, że łódź ledwie mogła utrzymać się na wodzie. Zaś na tych falach z głośnym krzykiem unosiła się kobieta

To nie był syreni śpiew. Co tam, nawet wieloryby wydawały o wiele przyjemniejsze dźwięki.

Turystka.

-Już prawie miałem tę kałamarnicę - wymamrotał Brad do Gigi, swego ulubieńca rasy chow-chow przygarniętego ze schroniska, który zajął ulubione miejsce na dziobie „Zodiaka”. - Po co ci ludzie pływają na statkach? Czy nie mogą popluskać się w basenie?

Gigi spojrzała na niego żałośnie i oparła pysk na przednich łapach.

Cóż, sytuacja stała się dramatyczna. Kobieta wciąż wrzeszczała jak opętana, a statek odpływał sobie w siną dal. Brad oparł dłonie na bokach pięciometrowej łodzi unoszącej się gwałtownie na falach i „Zodiak” powoli przestał się kołysać. Gigi nadstawiła uszu.

- Cóż, moja mała, musimy płynąć damie na ratunek. -

Zerknął na wodę. Wszystkie żywe istoty na czele z cennym głowonogiem uciekły przed tą krzyczącą topielicą.

Gdyby Brad miał trochę rozumu, zrobiłby to samo. - Dobrze, wyciągnę ją - mruknął. - Ale tylko dlatego, że żał mi morskich stworzeń - dodał, wykazując się niespotykanym u rycerzy brakiem szacunku dla dam.

Gigi szczerknęła radośnie i podniosła się. Dwudziestokilogramowy chow-chow nie był najodpowiedniejszym pasażerem w pontonowej łodzi, ale już dawno przeszedł morski chrzest.

Brad podniósł kotwicę, zwinął sznur i przeklinając pod nosem, skierował łódź w stronę unoszącej się na wodzie kobiety. Kiedy był parę metrów od niej, zgasił silnik, żeby nie zahaczyć topielicy śrubą napędową.

Gigi poszcze kiwała, balansując na drewnianym stołku, zaś rozwrzeszczana blondynka malowniczo unosiła się na falach.

Wszystko w porządku?! - zawołał do niej.

Cholera, w porządku?! - zabułgotała.

Brad zarzucił kotwicę i przykucnął. Topielica wykonywała w wodzie dziwaczne wygibasy, a jej różowa spódnica mieniła się niczym meduza. Jeśli się nie uspokoi, zaraz się zmęczy i utonie, pomyślał Brad.

Nie sztuka wyłowić kałamarnicę, ale jak wyciągnąć z wody kobietę ważącą pół kwintala z hakiem? Pneumatyczna łódź łatwo mogła wywinąć orła, a wtedy dopiero byłby kłopot...

Brad spojrział jeszcze raz na statek, który ginał już na horyzoncie.

- Hej, rybaku! - znów zabułgotała panna wodna. – Rusz tylek!

Nie widzisz, że tonę?!

Rusz tylek, rybaku? Brad miał coraz mniej ochoty, żeby jej pomagać.

Wcale pani nie tonie. A do brzegu całkiem blisko.

No już! Wyciągaj!

Brad nawet się nie poruszył.

A co się stało?

Cholera! Nie widzisz?! Wpadłam do wody.

A może ktoś z przyjaciół panią wrzucił?

Gigi zaszczekała za jego plecami. Na pewno uważała, że powinien przestać dręczyć tę kobietę i wreszcie jej pomóc.

-A niby dlaczego - znów wypłuła fontannę wody -miałby to zrobić?

Szczerze mówiąc, nie jest pani zbyt sympatyczna.

Co takiego?

Nigdy nie słyszał, żeby ktoś odzywał się takim tonem, kiedy tonął w oceanie.

- Nie mam zwyczaju zabierać do łodzi wszystkich chętnych, no i sytuacja nie jest aż tak dramatyczna, jak się pani wydaje. Do brzegu blisko, świetnie sobie radzi pani w wodzie... Spojrzała na niego błagalnie, bijąc rękami coraz szybciej w wodę.

- Człowieku, ja tonę, a zaraz mam ważne spotkanie! Natychmiast mnie wciągnij, bo złapię cię za rękaw i razem sobie popływamy!

A więc szantaż! Gdyby nie wrodzona dobroć, po prostu by sobie odpłynął. Niech ta wściekła baba radzi sobie sama! Poza tym jak dotąd dobroć wcale nie przynosiła mu szczęścia.

Ale... ta wściekła baba miała ładne zielone oczy. To był jego ulubiony kolor. Choć, delikatnie mówiąc, nie była sympatyczna, Brad poczuł, że serce mu trochę mięknie.

- Jak mógłbym odmówić, kiedy ktoś tak ładnie prosi? -

Znów przeszła go wzrokiem. Chyba musiała ćwiczyć te spojrzenia w lustrze. - Tylko ostrożnie - podał jej rękę - bo oboje znajdziemy się w wodzie. Powoli, proszę oprzeć się o burzę. No, czuję się tak, jakbym miał wyłowić marlina.

Wyraz jej twarzy świadczył, że nie jest zachwycona porównaniem do olbrzymiej pięciometrowej ryby, która mogła ważyć nawet tonę.

Kiedy udało mu się wciągnąć topielicę na łódź, zauważył, że jest szczupła, ale silna i bardzo wysoka. Choć by-

ła mokra, i tak wyglądała atrakcyjnie: długie nogi, blond włosy...

Opadła na siedzenie w jednym eleganckim sandaalku. Kto wkłada szpilki na rejs po oceanie?

Kazał się pan długo prosić. - Przysłoniła ręką oczy, by dojrzeć znikający w oddali statek.

Jak to się stało, że wpadła pani do wody?

Mogłabym przysiąc, że ta starucha - powiedziała mściwie - specjalnie mnie popchnęła, kiedy przechodziłam obok niej.

Może chciała sama się przewrócić, żeby podać mnie do sądu o odszkodowanie? - Brad powstrzymał się od komentarza, natomiast topielica dramatycznym gestem przycisnęła dłoń do piersi. - O mały włos nie połamał mi pan żeber!

Powinna pani być mi wdzięczna. Przecież uratowałem pani życie. Rekiny tylko czekają na smaczny kąsek Rekiny?!

Spojrzał na jej twarz o szmaragdowych oczach i zaróżowioną mokrą skórę. Ta kobieta była bardzo ładna. Nie zachowywała się zbyt miło, ale może akurat miała zły dzień.

A może to on był zbyt delikatny. Ile razy słyszał od matki, że z takim charakterem nie zrobi kariery naukowej w Smithsonian Institute.

Dlatego teraz siedział w pontonie pośrodku Zatoki Meksykańskiej ze źle wychowaną niedoszłą topielicą.

- Przepraszam - rzuciła z westchnieniem. - Dziękuję, że mi pan pomógł.

No, może nie była aż tak źle wychowana.

- W porządku. - Podał jej ręcznik. Gigi, jak wszystkie psy obdarzona dobrym instynktem, wyczuła napięcie i przezornie trzymała się od nich z daleka. - Proszę się wysuszyć.

-A pan niech włączy silnik i zawiezie mnie do Torchere.
- Zamachała wymanikiowaną dłonią. - Jak się pospieszę,
to może zdążę się przebrać i uczesać, żeby wyglądać jak czło-
wiek przed spotkaniem z Phipps-Stoverami. - Wytarła włosy. -
No już!

Nie mam zwyczaju słuchać rozkazów. - Brad wziął notes i
zapisał parę uwag na temat kałamarnicy, którą widział przed
kwadransem. Gigi zaszczekała z aprobatą. Ona także nie lubi-
ła, jak ktoś się za bardzo rządził.

Niech pan podniesie kotwicę, dobrze? - Gdy Brad dość fleg-
matycznie pobrał próbkę wody z oceanu, a potem zanotował
na butelce datę i godzinę, dodała zniecierpliwiona: - Co pan
robi?

Pobrałem próbkę wody.

Po co? - parsknęła.

Szukam czegoś.

Na lunch?

Szukam kałamarnicy olbrzymiej.

Wyglądała znacznie lepiej, kiedy zastygła ze zdziwienia. Była
prawie piękna, choć mokra i bez jednego buta.

Cze... czego?

Kałamarnicy olbrzymiej.

A co to takiego?

Coś. Dotąd nikt nie widział jej żywej, ale dam się pokrajać, że
na pewno istnieje.

Tak samo jak yeti.

Brad zerknął na nią z ukosa, potem zanurzył termometr w
oceanie.

No właśnie.

Mhm. I szczęśliwe małżeństwa. A to tylko bajki, które opo-
wiada się dzieciom na dobranoc.

Tym razem spojrzął na nią całkiem otwarcie.

Co panią dziś ugryzło?

Słucham?

Nie po to wyciągnąłem panią z wody, by słuchać, że moje badania to są jakieś bajki.

Pana badania? Nie wiedziałam...

Gigi warknęła, poderwała się z miejsca i doskoczyła do niej.

Nie pozwoli żadnemu intruzowi naśmiewać się ze swego pana.

Od dawna towarzyszyła mu w wyprawach i wiedziała, że wszystko jest możliwe w ciemnobłękitnych głębiach oceanu.

Niech pan zabierze tego kun... tego psa!

To niemożliwe. Gigi ma własny rozum. Jeśli ktoś jej się nie podoba, potrafi wyrazić to okazać.

Uniosła brwi.

Pana pies nazywa się Gigi?

Czy coś jeszcze chce pani skrytykować?

No... - Zerknęła na niego, przygryzła wargi.

Co takiego? Niech pani powie.

Gigi wciąż się w nią wpatrywała. Będzie bronić kałamarnicy olbrzymiej oraz swego pana.

- Dajmy spokój - powiedziała ekstropielica, jakby słowa prośbin nie mogły przejść jej przez gardło. - Jakoś źle to wyszło. Zacznijmy od początku. Jestem Parris Hammond.

- Wyciągnęła rękę.

Brad zawahał się, ale po chwili zrozumiał, że on także nie zachowywał się zbyt uprzejmie. Był zły, bo nie udało mu się zobaczyć kałamarnicy olbrzymiej ani wielorybów.

- Brad Smith. - Ucisnęli sobie dłonie.

Chłodny dotyk jej ręki przejął go dreszczem. To nie było wcale takie nieprzyjemne.

Brad, czyli Bradford? - Cofnęła szybko dłoń, jakby także coś poczuła.

Tak, ale nie lubię tego imienia.

Dlaczego? Jest wytworne.

No właśnie.

W porządku. - Gdy znów wziął notes i zapisał temperaturę na wykresie, dodała: - Jest pan bardzo tajemniczy.

Poczuł się dziwnie, bo wilgotna bluzka wyraziście eksponowała kształt jej piersi. Notes i długopis wyslizgnęły mu się z rąk.

- Muszę panią odwiedzić na to spotkanie z... z... – wyjąkał speszony.

Kiedy ich spojrzenia spotkały się, jej dłoń znieruchomiała. Coś dziwnego działo się między nimi. Parris rozchyliła wargi, ale przez dłuższą chwilę milczała.

Z Phipps-Stoverami - powiedziała wreszcie.

Może się pani spóźnić.

Nigdy się mnie spóźniam - odparła, nie spuszczać z niego wzroku.

Nawet na kolację? - Co też mu przyszło do głowy? Jej oczy rozjaśniły się.

Czy to zaproszenie?

- Zgadza się pani?

Położyła rękę na biodrze.

- Zgadzam się tylko na poważne propozycje.

Rany boskie, co za kobieta! Wcale nie miał ochoty wdawać się w te gierki. Był zirytowany, bo kałamarnica znikła gdzieś w odmętach. Zawrócił łódź i szarpnął linkę przy motorze, który najpierw zabulgotał, a potem ucichł.

- Niczego nie proponuję.

Parris Hammond z pewnością nie była przyzwyczajona

by ktoś, a już szczególnie mężczyzna, wycofywał zaproszenie. Mruknęła coś gniewnie, a potem zaczęła tak mocno wycierać włosy, jakby chciała zostać łysa.

To świetnie, bo jestem bardzo zajęta.

Ja też.

Silnik zapalił przy trzecim podejściu i Brad, oddalając się od brzegu, skierował łódkę w stronę wyspy.

Och, rozumiem, ta ogromniasta kałamarnica musi zabierać mnóstwo czasu.

Może pani przestać?

Naprawdę nie chciałam być złośliwa, ale cóż, kiedy ktoś mówi, że zajmuje się łowieniem kałamarnic... Jakie to okropne! - Wzdrygnęła się.

Kałamarnice wcale nie są okropne. - Gdy dodał gazu, Gigi zaskowytała na znak protestu. - Czy pani wie, że największa znaleziona kałamarnica ważyła prawie pół tony, a jej ramiona miały taki obwód jak uda rosłego mężczyzny? Niestety jak dotąd nikomu nie udało się zaobserwować takiego stwora żywego, i jest to jedna z największych zagadek oceanu.

Och, to fascynujące - stwierdziła enigmatycznie. Zerknął na nią.

Nie zrobiło to na pani wrażenia.

To nie tak. Podziwiam ludzi, którzy reprezentują prawdziwą wiedzę, ale.. - Położyła ręcznik na ławce. - Ale dlaczego akurat kałamarnice? - Lekko się wzdrygnęła.

Jestem biologiem morskim. To moja praca, przynajmniej jak dotąd, bo za parę tygodni... - Zamilkł. Po co jej to wszystko mówi? Nikomu nie zwierzał się ze swych kłopotów.

Och, co wtedy będzie? Popłynie pan szukać delfinów?

Uśmiechnął się.

- Albo morskich syren. Tak się jakoś składa, że mam więcej szczęścia w wyławianiu blondynek niż kałamarnic

- powiedział z czułością, ale tylko ostatnie słowo.

Przysłonił oczy daszkiem bejsbolówki i wypatrywał brzegu, żeby nie ulec pokusie i nie wrzucić w odmęty swej pasażerki na przynętę dla głowonogów.

Parris zastanawiała się, czy powinna uznać jego słowa za komplement. Nie. Przed chwilą porównał ją do oślizgłego stwora, który łapie swoje ofiary w ohydne macki. To tak, jakby wielbiciel morsów powiedział jej, że jest bardzo zgrabna.

Chwyliła się mocno burty, bo łódź pruć fale jak rakietę. Parris nie mogła odżałować, że włożyła buty od Prady na wycieczkę statkiem. Krab pustelnik mógłby znaleźć sobie siedlisko w czymś tańszym. Zdjęła z nogi drugi sandałek. Pójdzie na bosaka. Przynajmniej pedikiur wygląda nienagannie.

Niestety nie można było tego powiedzieć o kostiumie od Kennetha Colea. Słona woda i atłas nie pasowały do siebie tak samo jak Tom Cruise i Nicole Kidman.

Nagle łódka trafiła na większą falę i Parris omal nie spadła z siedzenia.

- Ostrożnie! - Brad przytrzymał ją ramieniem.

Jego dłoń była potężna i ciepła. Dłoń mężczyzny, który nie robił co tydzień manikiuru i nie siedział przez cały dzień przy biurku, klikając myszką i rozstawiając swoich pracowników po kątach.

Fale oceanu pieniały się, silnik ryczał, łódka znów wzbijała się na wysoką falę.

- Nie za szybko pan płynie? - zawołała ze strachem Parris.

To bardzo mocna łódź, choć wygląda jak nadęty balon. Jest tak zbudowana, że wytrzyma wszystko.

Jeszcze nigdy czymś takim nie płynęłam. - Zacisnęła ze strachu palce. - Nie lubię łodzi ani oceanu.

To jakim cudem znalazła się pani na środku Zatoki Meksykańskiej?

To moja praca. - Przesunęła dłonią po włosach lepkich od soli i lakieru. - W każdym razie w tym tygodniu.

A w przyszłym będzie pani występować w klubie „Flamenco”?

Spojrzała na niego przez ramię.

Nie śpiewam ani nie tańczę.

Szkoda, mając takie nogi... - Jego wzrok powoli wędrował od jej bioder w dół.

Lepiej niech pan patrzy przed siebie, a nie na mnie.

Dlaczego?

Żebyśmy nie wpadli na... na... - Spojrzała na błękitny bezkres, a potem zmarszczyła gniewnie brwi. - To pan steruje, więc niech pan się gapi przed siebie, a nie na moje nogi!

Jestem bardzo zdolny. - Uśmiechnął się. - Mogę robić dwie rzeczy naraz.

To niech pan płynie i myśli o swoich kałamarnicach, a nie o mnie.

Dlaczego?

Co dlaczego?

Dlaczego mam nie myśleć o pani?

Bo nic z tego nie wyniknie.

Jest pani mężatką?

Nie.

Zaręczona?

-Nie.

Zakonnica?

Nie.

To dobrze, bo też nie jestem mnichem. - Jego piwne oczy błysnęły spod daszka czapki.

Parris uśmiechnęła się bezwiednie.

Nie wyobrażam sobie pana w habicie.

W szkockiej kracie prezentuję się znacznie lepiej. Dotknął flanelowej koszuli narzuconej na wyblakły T-shirt z rysunkami kałamarnic.

Tak, zauważyłam - rzuciła z przekąsem.

Ach, rozumiem. - Pokiwał głową. - Jest pani niedostępna dla takich facetów jak ja. Nie interesuje pani niechlujny profesor. Jej wzrok przesunął się po wyświechtanej bejsbolówce spod której połyskiwały piwne oczy, potarganej brodzie zakrywającej mocną kwadratową szczękę, starej flanelowej koszuli z obciętymi rękawami opinającej muskularne ramion i dobrze zbudowaną klatkę piersiową. Gdyby spaliła te ubrania i zaprowadziła go do swojego stylisty Josego i do salon Estee Laudera, być może Brad Smith wyglądałby na tyle przyzwoicie, że można by się z nim pokazać publicznie.

Jak prawdziwy mężczyzna, a nie - cytując jego słowa - niechlujny profesor. Wyglądał raczej na jaskiniowca, ale nawet ona nie odważyłaby się powiedzieć mu tego prosto w twarz, przynajmniej dopóki nie znajdą się na lądzie.

- Jestem bardzo zapracowana i nie mam czasu na rozrywki. - To właściwie było kłamstwo, bo kiedy jej siostra Jackie przybędzie z podróży poślubnej ze Stevenem, jej „kariera” bizneswoman skończy się i Parris wróci do normalnego życia.

Tylko co to za życie, skoro, mając dwadzieścia siedem lat, odczuwała tak wielką pustkę. Niestety nie wiedziała, czego tak naprawdę jej brakuje.

- Aha - odparł z niedowierzaniem. - Rozrywki. – Uniósł dźwięgnię i mała łódka pomknęła jeszcze szybciej.

Parris poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Wywróci pan nas! - Ku swej wielkiej radości spostrzegła, że wreszcie dopływają do przystani La Torchere. - Wsiądę gdzie tutaj. Mieszkam w ośrodku.

W głównym budynku czy w którymś z domków?

Zerknęła na niego z ukosa. Z potarganą brodą nie wyglądał na bywalca eleganckiego La Torchere. Podobno jednak pozory mylą.

Był pan tam?

Kiedyś byłem. - Uśmiechnął się pod nosem, po czym zacumował.

Proszę mnie odwiedzić, kiedy będzie pan w pobliżu

-powiedziała Parris. Wstała, próbując zachować równowagę, bo łódź zaczęła się kołysać.

Pomogę pani.

Dam sobie radę. - Ledwie postawiła jedną nogę na nabrzeżu, nagła fala uniosła łódź.

Nie! - krzyknęła, robiąc szpagat wart medalu.

Brad chwycił ją za rękę i pomógł się podnieść. Odrzuciła jego rękę, próbując stanąć na nabrzeżu, lecz łodzią znów zakołysało. W panice wczepiła się w Brada i wreszcie zrobili coś zgodnie, mianowicie chlupnęli do wody.

Wspaniale! - zawołała, wypluwając włosy z ust. -Gdzie uczył się pan cumować łódź?

Pewnie tam, gdzie panią uczono, jak się ubrać na morską wycieczkę.

Podpłynęła do drabinki i wspięła się na-pomost. Brad ruszył za nią, Gigi zaszczeakała dla kurażu.

- Cholera, to miał być elegancki rejs, a nie wyprawa śladem kałamarnic!

Przemoczony do suchej nitki Brad wyglądał jeszcze żałośniej niż przedtem.

- Wpadła pani do wody, bo mnie pani nie posłuchała.

Parris wzięła się pod boki.

Wpadłam, bo nie przymocował pan dobrze łodzi.

Uparła się pani, że da sobie sama radę.

Jest pan nie do wytrzymania! Łatwiej dogadać się z gwiazdami z Hollywood.

Hm... Pracuje pani z gwiazdoramii?

Czasem. Jestem doradcą osobistym i pomagam tworzyć wizerunek. - Doradzała, i owszem, swojej przyjaciółce Lizie, a także pomogła jej przygotować się do castingu. No i Liza dostała tę rolę, prawda?

Brad wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się i śmiał, aż miała ochotę wepchnąć go znów do wody rekinom na przekąskę.

Co pana tak rozbawiło?

Pani komuś doradza? I jeszcze pomaga? Raczej go pani dręczy.

Klienci są bardzo zadowoleni z mojej pracy. Odniosłam wiele sukcesów. - To już było kłamstwo. Dopiero niedawno zaczęła pracować w Hammond Events, gdy ojciec przekazał firmę jej i Jackie. Ale na pewno wypadnie wspaniale, jeśli będzie miała okazję się sprawdzić. - Mogłabym nawet doradzić panu, jak poprawić swój wizerunek. To koszmarnie trudne wyzwanie, ale...

Brad zbliżył się, był tuż-tuż. Teraz wcale nie wyglądał

źle. Mokre ubranie podkreślało muskularną sylwetkę. To nieprawda, co myślała o nim przedtem. Wcale nie brakowało mu męskości. Właściwie jeszcze nigdy nie spotkała tak atrakcyjnego mężczyzny. Szkoda, że strasznie jej działał na nerwy.

- Jest pani najbardziej irytującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

No nie, co za niewdzięczność! Przecież chciała mu tylko pomóc.

- A pan jest wredny.

Spojrzał na nią, coś zaczął mówić, ale nie miała zamiaru słuchać dalszych impertynencji. Uderzyła niczym kobra, błyskawicznie i skutecznie.

Zbyt późno zorientowała się, że chciał ją przeprosić. Brad, wymachując ramionami, znów wpadł do wody.

Do diabła! Ładnie podziękowała mu za ocalenie.

Spojrzała w dół. Brad był czerwony ze złości. Bejsbolówka spadła mu żyłowy i odpłynęła gdzieś daleko. Z pewnością już nie miał ochoty jej przeproszać. Był wściekły. Gigi zaszczekała, żeby dodać mu otuchy.

Może panu pomóc?

Tylko nie to! - Zaczął płynąć do drabinki.

Chyba lepiej będzie, jak sobie pójdzie. Profesor Bradford Smith raczej miał już dosyć jej towarzystwa.

- Dziękuję za przejazdzkę - powiedziała. - Życzę, żeby złapał pan tę kałamarnicę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brad Smith nie był rybakiem, za to jednym z niewielu mężczyzn, którzy mogli zmierzyć się z Parris. Mamy zamknęła magiczny telefon komórkowy, szczęśliwa, że może obserwować wyniki swoich starań, i ułożyła się wygodnie na leżaku.

Niewykluczone, że uda się pozytywnie załatwić sprawę Parris, chociaż nie będzie to łatwe. Za to całkiem niezłe udało się połączyć Jackie ze Stevenem i Ruthie z Diegiem, którzy wkrótce wezmą ślub.

Może panna Parris Pyszna dostanie małą lekcję, jak kochać i szanować ludzi. To naprawdę byłby happy end.

Bradford Smith i Parris Hammond... Niezła para, co?

Brad wyszedł spod prysznic, przetaił zaparowane lustro, spojrzął na swoje odbicie i uświadomił sobie smutną prawdę. Parris Hammond miała rację. Ani w łodzi na oceanie, ani prosto po kąpielni nie wyglądał na człowieka sukcesu.

Do diabła! Spotkanie z kierownictwem fundacji ma się odbyć już za dziesięć dni, Jego badania przyniosły dobre wyniki, udało mu się zebrać ciekawe okazy, ale sam trochę się zaniedbał.

Potał brodę. Nie trochę, tylko bardzo. Nic dziwnego, że Parris Hammond patrzyła na niego z obrzydzeniem.

Problem w tym, że Brad nie był człowiekiem, który

zwracałby uwagę na wygląd, własny czy też cudzy. Przecież całymi dniami polował na kałamarnice, a daleko im było do ideału piękna. Co nie znaczy, że nie mógłby o siebie bardziej zadbać.

Wyszedł z łazienki apartamentu połączonego z pracownią i otworzył drzwi laboratorium. Jerry, jego asystent, siedział przy biurku i robił notatki.

- Jerry, tylko mów prawdę. Czy powinienem inaczej się nosić? Asystent zerknął na jego T-shirt i spodnie khaki, potem wzruszył ramionami.

- Dla kałamarnic to nie ma znaczenia, dla mnie zresztą też. A jest ktoś, dla kogo ma?

- Niedługo mam się spotkać z władzami fundacji i chciałbym, żeby potraktowali mnie poważnie.

Jeśli na tym spotkaniu będzie wyglądać jak okaz wyciągnięty przez Jacques'a Cousteau z głębin oceanu, to nie będzie miał szans otrzymać grantu na dalsze badania. Komisja na pewno woli naukowców, którzy dobrze prezentują się w mediach.

W takim razie - powiedział Jerry, przegarniając rude włosy - mógłbyś co nieco się odmienić.

To znaczy, że mam wyrzucić wszystkie ciuchy i kupić spodnie z czarnego jedwabiu oraz muszkę?

Rany, nie znam się na tym. - Jerry poklepał się po T-shircie ozdobionym napisem „Prawdziwi mężczyźni potrafią bekać”. Rozumiem.

Może mama ci pomoże? - Spojrzał na niego z lekką kpina. - Przecież matki uwielbiają stroić swoje dzieci.

Brad nalał sobie kubek kawy o konsystencji smoły.

- To nie jest dobry pomysł.

- No tak, ona nie jest prezeską fanklubu kałamarnic.

Zwrócić się do niej o pomoc oznaczałoby tylko napaść sobie biedy.

Matka organizuje aukcję w La Torchere. Zbiera fundusze na budowę, akwarium.

To znaczy, że macie wspólne cele.

Budowanie klatek dla morskiej fauny to nie to samo co badania oceaniczne. - Brad wypił duży łyk kawy, nie zwracając uwagi na jej gorycz. - Matka pragnie, żebym wszedł w skład zarządu. Niezbyt ceni moją pracę.

W takim razie potrzebna ci jest dziewczyna. I to taka z klasą. - Jerry postukał się długopisem po brodzie. - Zna my taką? Na pewno nie Lucy. Ona żuje włosy. Mary jest niezła, ale chyba nic nie widzi przez te swoje okulary. Kitty zawsze wkłada czerwone skarpetki i fioletowe szorty. Nawet ja wiem, że skarpetki nie powinny być jaśniejsze od szortów. - Uniósł palec. - Chwileczkę... Mam! Susan. Ona jest wspaniała, zna się świetnie na modzie i...

To moja była narzeczona.

Zapomniałem. Nie chcesz jej prosić o pomoc?

Pojechała w podróż poślubną z drugim mężem.

No tak, to nie najlepszy moment... Nie znam więcej atrakcyjnych dziewcząt. - Zakreślił słoikiem z kałamarnicą zanurzoną w formalinie. - Nikt ci nie może pomóc. Musisz sobie radzić sam, stary.

Znam pewną kobietę - odezwał się po namyśle Brad. - Ubiera się bardzo elegancko.

Super! Gdzie ją poznałeś?

No... wsiadła dziś do mojej łódki.

Aha... Piękna dziewczyna wynurzyła się z oceanu jak

syrena i wsiadła do twojej łodzi? Jeszcze mi powiedz, że jednorozce biegają na wyścigach.

Wypadła za burtę „Lady's Delight”. Byłem w pobliżu, więc ją wyciągnąłem.

Miła?

Nie powiedziałbym. Ale super elegancka.

- Ciekawe, ciekawe... To co, zadzwonisz do niej?

Brad potarł brodę. Parris, niczym Kopciuszek, zostawiła w łodzi pantofelek.

- Może do niej wpadnę.

Jerry chwycił dziennik i ołówek.

Muszę to zapisać.

Niby co?

Nie każdy doświadcza cudu, a mnie właśnie spotkała taka łąska. Zapiszę to dla potomności.

Cud? Jaki znowu cud?

Pracoholik Bradford Smith zamierza umówić się na randkę. I to nie z kałamarnicą, a z dziewczyną.

- To nie będzie randka, tylko konsultacja.

Jerry odłożył na bok dziennik.

- Konsultacja, konsultacja... no i po cudzie – mruknął zdeglustowany.

Parris wzięła głęboki oddech i poprawiła fryzurę, zatrzymując się przed wejściem do sali konferencyjnej, żeby po raz setny sprawdzić, czy nie ma we włosach resztek glonów. Wszystko poszło jak z płatka. Po szybkim prysznicu przebrała się i znów wyglądała bardzo elegancko.

Prawdę mówiąc, wcale nie wiedziała, czy poradzi sobie z aukcją, choć bardzo jej na tym zależało.

Kiedy młodsza siostra Jackie przekazała jej zorganizowa-

nie i prowadzenie wielkiej aukcji dobroczynnej wartej setki tysięcy dolarów i pojechała w podróż poślubną ze Steve-nem, w pierwszej chwili Parris ogarnęła złość, jednak szybko potraktowała to jak wyzwanie. Do tej pory żyła przecież jak księżniczka, która tylko chodzi na przyjęcia.

Aukcja miała być pierwszym wielkim wydarzeniem w Hammond Events, firmie, którą ojciec przekazał im niby po to, by się usamodzielnili, a tak naprawdę przyświecał mu cel, by córki pogodziły się z sobą.

Ale z pojednania na razie nic nie wyszło, bo Jackie bawiła się teraz beztrąsko na ranczu Stevena na Florydzie, a Parris przygotowywała aukcję sama. Nie była wcale pewna, czy z tego coś wyjdzie, bo ostatnio miała problemy ze zdobyciem kolejnych ofiarodawców. Tak pragnęła, żeby wszystko się udało. Mogłaby wtedy udowodnić całemu światu, ile naprawdę jest warta.

Dlatego musiała przekonać Phipps-Stoverów, żeby przekazali coś wartościowego na aukcję. Wyprostowała się. I strzepnęła z kostiumu niewidoczny pyłek i westchnęła.

Merry Montrose, kierowniczka hotelu, zbliżyła się do niej, zanim Parris zdążyła wejść do restauracji.

- Jak się pani czuje, panno Hammond? Słyszałam, że miała pani okropny wypadek.

Parris przemknęło przez głowę, że właśnie ma przed sobą sprawczynię tego nieszczęścia.

- Doskonale. Dziwię się tylko, że nikt nie słyszał, jak krzyczałam.

Och, przecież pani wie, jaki hałas panuje na wycieczkowych statkach, a w moim wieku nie ma się dobrego słuchu.: - Pochyliła się ku Parris. - Podobno ktoś panią wyratował.

Mężczyzna, który płynął łodzią.

Prawdziwy rycerz w lśniącej zbroi?

Nie powiedziałałabym. - Nie wiedziała, jak określić Brada Smitha, ale na pewno nie był „rycerzem”. - Nie wierzę w takie rzeczy.

W jakie rzeczy?

O Boże! Jeśli ona nie przestanie gadać, spóźnię się na spotkanie, pomyślała Parris. Jednak aukcja miała się odbyć w hotelu i nie mogła obrazić kierowniczkę.

- W bajki - odparła krótko. - Bracia Grimm tylko spaczyli umysły biednym dzieciom.

- Czy mi się zdaje, że przemawia przez panią gorycz?

Wścibska starucha! Parris nie odezwała się. Nie będzie zwierzać się kierowniczkę hotelu ze swych problemów osobistych. Ta kobieta ostatnio wciąż kręciła się koło niej. Może próbowała ją wyswatać? Parris nie potrzebowała jej pomocy, żeby znaleźć sobie odpowiedniego faceta, poza tym nie miała czasu na romanse. Powinna zająć się karierą zawodową, a nie szukaniem rozrywki.

Merry odwróciła głowę, spoglądając przez przeszkłone drzwi do wnętrza restauracji.

- Proszę, jak można być szczęśliwym!

Parris podążyła za jej wzrokiem. Phipps-Stoverowie siedzieli przy stoliku nieopodal kominka, sącząc szampana i jedząc sernik z truskawkami, który Parris specjalnie dla nich zamówiła. Brian Phipps-Stover w czułym geście podał żonie do ust kawałek ciasta.

Boże, chroń mnie przed nowożeńcami! - pomyślała ze zgrozą Parris. Czy oni nie wiedzą, co się stanie za trzy tygodnie, trzy miesiące, trzy lata, a może nawet trzy godziny? Udawanie się skończy i oboje pokażą swoje prawdziwe oblicza, zamieniając chwilową radość w udrękę.

Widziała, jak rozpadało się małżeństwo jej rodziców. Jej własne małżeństwo w ogóle nie doszło do skutku. Szczęśliwy związek to oszustwo wymyślone przez pary, które udają zgodne stadła, a w domu kłócą się o teściów i pieniądze. Każdemu może się udać - powiedziała Merry, jakby czytając w jej myślach.

Ja chcę tylko, żeby aukcja się udała. - Parris pożegnała się i weszła do ekskluzywnego Pokoju pod Figowcem. Zerknęła na zegarek; spóźniła się tylko trzy minuty. Gdyby nie rozmowa z Merry, byłaby punktualnie.

Z uśmiechem podeszła do stolika, przy którym siedzieli Phipps-Stoverowie, gruchając do siebie jak dwa gołąbki.

- Dzień dobry. Miło mi poznać państwa osobiście. Jestem Parris Hammond, współwłaścicielka Hammond Events. - Wyciągnęła rękę. - Zdaje się, że rozmawiali już państwo z moją siostrą Jackie.

Phipps-Stoverowie wstali, żeby się przywitać.

Panna Hammond czy pani Hammond? - spytała Joyce.

Panna. Niestety nie miałam tyle szczęścia co pani - odparła Parris, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, który tak bardzo by mi się spodobał - dodała, gdy usiedli przy stoliku.

Szczęście nie liczy się w małżeństwie - oświadczył Brian, nadziewając truskawkę na widelec. - Miałem więcej szczęścia w Las Vegas.

Joyce zasznurowała usta, zerkając na niego kątem oka, ale nic nie powiedziała.

- Przede wszystkim chciałam podziękować za wsparcie Funduszu Budowy Akwarium Victorii Catherine Smith - powiedziała Parris. - To wspaniała inicjatywa, a państwa pomoc pozwoli nam pokazać, jak interesujące jest życie w oceanie.

Lubię ryby. Są zabawne. - Brian wzruszył ramionami, wsadził do ust truskawkę, po czym wypił łyk szampana.

Kochanie, najpierw pije się szampana, a potem je truskawkę - zwróciła mu uwagę żona. - W ten sposób osiąga się najlepszy efekt.

-Ale wtedy, złotko, pestki od truskawek zostaną mi w zębach. Najpierw jem truskawkę, a potem przepłukuję sobie usta szampanem.

Joyce uśmiechnęła się z przymusem.

- Naprawdę, kochanie, ludzie pomyślą, że brak ci dobrych manier.

Brian zmrużył oczy, odłożył widelec i skrzyżował ręce na piersi.

- Ludzie czy ty? - wypalił.

Oho! Z róży Phipps-Stoverów opadły już płatki. Ich związek przypominał raczej wiązankę kolców.

- Porozmawiajmy o tym, co ofiarują państwo na aukcję

- ratowała sytuację Parris.

Phipps-Stoverowie przypomnieli sobie, że należą do elity.

Brian sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął książeczkę czekową.

- Daj mi pióro, złotko.

Och nie, kochanie! - roześmiała się Joyce. - Nie będziemy wypisywać czeku. To takie... bezosobowe. Myślę, że powinniśmy ofiarować dzieło sztuki.

Jakie dzieło?

Obraz, który wisi w salonie nad kominkiem.

Namalowany przez moją cioteczną babkę?

Te wszystkie orchidee i lilie nie tworzą odpowiedniej atmosfery. Przecież mamy inny gust.

- Nie podoba ci się obraz mojej ciotecznej babki? - spytał groźnie Brian, unosząc się z miejsca.

O Boże! To się źle skończy. Parris nie miała pojęcia, co teraz zrobić. Jedyne doświadczenie, jakie miała w biznesie, dotyczyło wysyłania zaproszeń na przyjęcie.

Twoja cioteczna babka, kochanie, była znana ze swej słabości do mężczyzn. - Joyce uśmiechnęła się nieszczerze, zaciskając zęby. - Jej obrazy odzwierciedlały jej... jej potrzeby. Wszyscy o nich wiedzą. Ten obraz na pewno osiągnąłby wysoką cenę. Moja cioteczna babka nosiła nazwisko Stover. Zasluguje nie na plotki, tylko na szacunek.

Jeszcze chwila i Phipps-Stoverowie skoczą sobie do oczu. Parris nie mogła odżałować, że nie ma tu Jackie. Oczywiście siostra musiała wyjechać. Miała prawo do szczęścia, ale dlaczego nie zaczęła, aż skończy się aukcja?

- Na pewno możemy dojść do porozumienia - powiedziała Parris.

Brian wstał.

- Mam już tego dosyć.

Proszę zostać. Na pewno. Joyce także wstała.

Ja też idę. I w ogóle stąd wyjeżdżam.

To dobrze. Na plaży będzie więcej miejsca, bo wciąż wylegujesz się na piasku, żeby spalić się na frytkę.

Nieprawda! - parsknęła z oburzeniem Joyce.

Już niedługo będziesz stara i pomarszczona jak ta rzeźba, którą nam wcisnęła twoja babka.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom! Marmurowe popiersie pradziadka Phippsa to rodzinna pamiątka, kawałek historii.

To jest kawałek...

Łatwo rozstrzygnąć ten spór - odezwał się znienacka znajomy głos.

Parris odwróciła się. Brad Smith stał z torbą w rękę parę kroków od niej. Wyglądał czysto i schludnie w świeżo upranym T-shircie, ale i tak przypominał raczej studenta niż prawdziwego naukowca.

Phipps-Stoverowie jednak przestali się kłócić. Może czekali z zapartym tchem, co zaproponuje ten przybysz, albo zaniemówili ze zdumienia, że w tak ekskluzywnej restauracji pojawił się tramp.

Brad wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę i rzucił ją Brianowi.

Oto rozwiązanie - powiedział.

Mamy rzucać monetę? - spytała zdumiona Joyce.

Szansa wygranej fifty-fifty. To najlepszy sposób zakończenia kłótni, gdy obie strony uważają, że mają rację.

Tak naprawdę się nie kłócimy - powiedziała Joyce.

Jesteśmy nowożeńcami - dodał Brian.

To wszystko tłumaczy - uśmiechnął się Brad. - Spróbujcie. Nie chcecie się kłócić, prawda?

Joyce i Brian spojrzeli po sobie.

-Zgadzam się. - Brian wzruszył ramionami. - Lubię się zakładać. - Potrząsnął ręką, w której trzymał monetę.

- Orzeł czy reszka, króliczku?

Jego żona zacisnęła usta i westchnęła.

- Orzeł.

Brian podrzucił dwudziestopięciocentówkę, złapał ją i zakrył dłońią.

- Cokolwiek to będzie, ustąpię. Nie chcę się już kłócić, złotko.

- Ja też nie - przytaknęła Joyce.

Brian odsłonił monetę.

- Wygrałaś.

- Nie. Oboje wygraliśmy, cukiereczku. - Schwyciła męża za ramię i głośno cmoknęła go w policzek.

W ten sposób spór został zażegnany.

Damy ten obraz na aukcję - oświadczył Brian. - Na pewno ktoś go polubi tak jak ja.

A potem pójdziemy kupić coś, co będzie dla nas bardziej odpowiednie - odparła Joyce.

Jesteś cudowna, trufelko.

Znów zapanowała między nimi idylla. Szybko podpisali oświadczenie o przekazaniu darowizny na aukcję i przytuleni opuścili restaurację. Parris i Brad przeszli na werandę.

- Teraz powinna pani być mi podwójnie wdzięczna - powiedział z uśmiechem. - Nie, potrójnie - sprostował, wręczając jej torbę.

Kiedy jego oczy rozjaśniły się w uśmiechu, poczuła dziwny przypływ energii. Jak to możliwe? Spędziła z nim zaledwie około czterdziestu minut, do tego mokra i wściekła.

Co to jest? - spytała.

Szklany pantofelek, Kopciuszk. Zostawiła go pani w mojej łódce.

Zaczerwieniła się. Przez ułamek sekundy czuła się tak, jakby była bohaterką bajki. Co za bzdury! Przecież jest bogatą księżniczką, a on tylko łowcą kałamarnic. Idiotyczna bajka!

Jeszcze raz dziękuję - powiedziała.

To za mało.

- Chce pan pieniędzy? Czy dla zysku ratuje pan damy znajdujące w opałach?

Brad przechylił głowę w bok, zastanawiając się przez chwilę. Może bym tak robił, gdyby to przynosiło duży zysk. Lepiej wykorzystalbym czas spędzany na oceanie.

Nie zapłacę panu za uratowanie mi życia. - Uniosła brodę. - Tak powinien postąpić każdy porządny obywatel. A pan wygląda...

-Jak?

No... jak porządny obywatel. - Wolałaby już się od niego uwolnić. Denerwował ją i wprawiał w dziwny stan.

Uważa pani, że powinienem bardziej o siebie zadbać? Nosić krawat?

Hm... - Spojrzała na jego stonowany T-shirt bez napisów reklamujących piwo czy okazy morskiej fauny.

-Tak.

Dobrze.

Dobrze?

Mówiła pani, że jest konsultantką do spraw wizerunku. Potrzebuję porady.

Stop, stop! Nic z tych rzeczy. Wiedziała, o co mu chodzi.

Żadne tam „porady”, tylko seks.

Czy to taki podstęp, żeby umówić się ze mną na randkę? Bo jeśli...

Chcę panią zaangażować jako konsultantkę.

Zaangażować jako konsultantkę?

Tak. Czy to takie dziwne? Przecież tym się pani zajmuje, prawda?

Tak! - Zaśmiała się nerwowo. - Przez cały czas. - To znaczy od paru tygodni. Przedtem potrafiła tylko podpisać się na rachunkach.

Świetnie. W takim razie może mi pani pomóc.

Brad poklepał się po piersi.

- Żeby wyglądał bardziej elegancko.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć własnym uszom. Mężczyźni zwykle byli zadowoleni ze swego wyglądu i dostawali ataku serca, gdy kobieta chciała zmienić kolor ich skarpetek. To niemożliwe, żeby ten facet mówił prawdę. Na pewno chodzi mu o coś innego. Coś, co wcale nie wymaga „konsultacji”. Poza tym nie wyglądał na kogoś, kto ma pieniądze, żeby jej zapłacić.

A co z honorarium?

Już zapłaciłem z góry. Najpierw wyciągnąłem panią z wody, a potem pomogłem pogodzić się tej parze. A z pieniędzmi u mnie krucho.

Parris przycisnęła do piersi dokumenty. Za cztery dni, w sobotę, odbędzie się aukcja, a ona ma przed sobą mnóstwo spraw do załatwienia. Jackie nie może jej pomóc, więc musi sama skoncentrować się na tym zadaniu. Brad Smith z pewnością przeszkadzałby jej w pracy. Nawet jeśli naprawdę chce ją zatrudnić - co jest wątpliwe, bo nie musi mieć na szyi krawata przy łowieniu kałamarnic - nie będzie miała na to czasu.

Teraz nie mogę. Jestem zbyt zajęta aukcją.

Chwileczkę. Ta aukcja ma na celu zebranie funduszy na budowę akwarium Victorii Catherine Smith?

Słyszał pan o tym?

Owszem... - Słyszał, ale nic dobrego. Może kampania reklamowa była źle zorganizowana. - Wiem, że to wielkie przedsięwzięcie.

No właśnie. Dlatego rozumie pan, że nie mogę przy-

jąc tej oferty. - Uff, miała wymówkę, żeby się wykręcić, czy była mu coś winna, czy też nie. Brad stanął tuż przy niej. Jeśli pani naprawdę nie może, to spróbuję znaleźć jakieś wyjście.

Tu nie ma żadnego wyjścia, panie Smith. Jeśli mówię, że jestem zajęta, to tak jest. Przepraszam. - Zaczęła przeglądać dokumenty, mając nadzieję, że to go zniechęci.

W porządku. - Cofnął się.

Jeszcze raz dziękuję za pomoc. I za pantofel. - No proszę, a jednak umiała załatwiać interesy. Przedstawiła sprawę jasno: ta transakcja nie dojdzie do skutku. Parris nie była nikomu nic winna, a zwłaszcza nie musiała umawiać się na dziwne randki. Nie ma za co - odparł chłodno, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Podniosła głowę znad papierów, patrząc, jak się oddala. Wysoki i przystojny, choć to tylko jakiś tam profesorek.

Odprawiła go tak, jak chciała, dlaczego więc była rozczarowana? Potrząsnęła głową, starając się przestać o tym myśleć.

Ale litery rozplywały jej się przed oczami i zamiast listy gości widziała twarz Brada Smitha.

Zamrugła. Ostatnią rzeczą, jaka była jej potrzebna do szczęścia, to badacz kałamarnic, który chciałby przemienić się w księcia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cóż, nie poszło dobrze. Wyszedł z hotelu i zmierzał w kierunku swego domku po drugiej stronie wyspy. W laboratorium będzie tylko Jerry, który wiedział, kiedy należy zostawić szefa w spokoju.

Brad wiódł żywot pustelnika, co było znacznie przyjemniejsze niż spotkania z taką kobietą jak Parris. Dostał już nauczkę od Susan, jak może się skończyć znajomość z wyniosłą i zarozumiałą damą, i nie miał ochoty powtarzać tej lekcji.

Poza tym Parris denerwowała go. Doprowadzała do szału.

Chciał chwycić ją i całować, dopóki nie opuści go ta gorączka. Może wtedy panna Niedostępna stałaby się miłsza? - Powinien przestać o niej myśleć, ale to nie było łatwe. W nocy cały czas śniła mu się kusząca syrena o jasnych włosach i zielonych oczach.

Kiedy z samego rana rozległ się dzwonek telefonu, półprzytomny sięgnął po słuchawkę.

Dzień dobry, kochanie.

Mama! Co za niespodzianka. - Victoria Catherine Smith dzwoniła tylko wtedy, gdy miała ochotę ponarzekać lub trzeba było złożyć życzenia świąteczne.

Zastanawiałam się, czy... - Zawiesiła niepewnie głos. To niemożliwe. Matka zawsze była bardzo pewna siebie. Wyrażała opinie tonem nieznoszącym sprzeciwu, zwłaszcza na temat „nieudanej” kariery syna.

Czy co?

Och, nic. - Jej głos odzyskał zwykłą werwę. - Niedługo przyjeżdżam z Bostonu. W sobotę wieczorem jest aukcja na rzecz mojego akwarium. To będzie cudowne miejsce. Powinieneś także się tym zainteresować. Będziesz na aukcji, prawda?

Jestem bardzo zajęty badaniami, mam.

Och, wciąż te ryby...

Kałamarnice. Prowadzę badania nad kałamarnicą olbrzymią. Jeszcze gorzej! A jesteś taki zdolny. Powinieneś wrócić do Massachusetts i pracować w...

Nie zaczynaj od nowa, mam.

Bradford, jak możesz całymi dniami zajmować się robakami i zdechłymi rybami?

To mój żywioł. Szkoda, że mnie nie widzisz. - Miał ochotę się roześmiać, bo właśnie był ubrany w zabawny T-shirt z rysunkiem kałamarnicy.

Nigdy nie rozumiałam, jak może cię to interesować.

W tym właśnie problem.

Akwarium stworzyłoby ci takie możliwości.

Siedzenia przy biurku przez cały dzień?

Zostawiłbyś te okropne łódki.

Uwielbiam je, mam. To jest moja praca. Nie chcę zamienić jej na inną.

Tak czy inaczej przyślę ci zaproszenie. I włóż garnitur. Wiem, że masz kilka, bo sama ci je kupiłam.

Powstrzymał brzydkie słowo. Trzyczęściowy garnitur był kwintesencją wszystkiego, od czego chciał uciec, opuszczając rodzinny dom.

- Postaram się - stwierdził enigmatycznie, by nie składać obietnic, których nie będzie mógł dotrzymać.

Jego myśli poszybowały znów do Parris Hammond. Prosił, żeby pomogła mu się ubrać elegancko. Powinien stawić się w smokingu przed komisją przyznającą granty, niestety nie miał nic takiego. Musiał też wiedzieć, jak poruszać się swobodnie w tym cudacznym stroju pingwina. Zawsze nosił tylko szorty i T-shirty, unikając jakichkolwiek oficjalnych strojów. Na łódce był w swoim żywiole. W innych warunkach czuł się jak ryba wyjęta z wody, bezradnie trzepocząca płetwami.

Miał wrażenie, że Parris Hammond, choć tak działała na nerwy, może pomóc mu odnaleźć drogę do cywilizowanego świata.

Chyba powinnam pogodzić się z tym, że będziesz się zajmować ośmiornicami - westchnęła matka.

Kałamarnicami.

Co za różnica? Wszystkie są odrażające.

To dlaczego sponsorujesz budowę akwarium?

Nie mam zamiaru oglądać tych stworów, Bradford. Spełniam tylko wolę ojca.

Powstrzymał się, żeby nie powiedzieć, co o tym myśli.

- Muszę kończyć, mam. Zaraz jadę na połów wielorybów.

Odłożył słuchawkę i wygramolił się z łóżka. Wolał myśleć o kałamarnicach i kaszalotach. Najlepiej płci męskiej. Płeć żeńska zbyt niemożliwością dała mu się we znaki.

Merry zamknęła magiczny telefon komórkowy i westchnęła. Znów coś się popsuło, bo odbiór nie był dobry, ale najgorsze, że wczorajsza rozmowa Brada z Parris ujawniła wielkie kłopoty w realizacji planu.

Brad właśnie powiedział, że wybiera się na połów wielorybów, a to znaczy, że znajdzie się w jakimś miłym, ustronnym zakątku z dala od hałaśliwego ośrodka La Torchere. Jeśli uda się wysłać tam Parris, to ta para zyska jeszcze jedną szansę.

Merry pospiesznie wyszła z willi i skierowała się w stronę hotelu. Elegancka jak zwykle Parris stała przy recepcji, pokrzykując na pracownicę, która pomyliła się w zapisywaniu przekazywanych informacji.

- Przepraszam - powiedziała do recepcjonistki, pocierając skronie. - Właśnie otrzymałam telefon od ofiarodawcy, który w ostatniej chwili zmienił przedmiot przekazywany na aukcję, w folderze pomyłono strony i trzeba było wszystko poprawiać, a firma dostarczająca okolicznościowe upominki przysłała mi dwieście papierowych bocianów z napisem „To jest chłopiec” zamiast marmurowych zegarów na biurko, które zamawiałam. Wszystko idzie nie tak jak trzeba, a ja wyładowuję się na pani. Czy to możliwe, że Parris przeprosza za swoje nieuprzejme zachowanie? Merry nagle odzyskała wiarę w to, że uda jej się jednak połączyć tę nieszczęsną parę.

- Pan Kingman prosił, żeby pani coś przekazać - powiedziała recepcjonistka. - To jest zaproszenie na lunch na jego jachcie. - Wręczyła Parris kremową kopertę.

Merry знаła to nazwisko. Kingmanowie byli bogatymi ludźmi, którzy brali udział we wszystkich akcjach charytatywnych prowadzonych na rzecz morskiej fauny. Czę-

sto spędzali wakacje w tym hotelu, korzystając z uroków prywatnej plaży i podziwiając liczne gatunki pływających w oceanie stworzeń. Na pewno zechcą przekazać darowiznę na tę aukcję. To znaczy, że...

Nic się nie stanie, jeśli Parris nie pójdzie na ten lunch.

Cóż, chyba można użyć trochę czarów, żeby pomóc tej parze, zwłaszcza że Parris nie odwdzieczyła się Bradowi za przysługę. Merry rozejrzała się szybko wokół. Lissa, jej matka chrzestna, nigdy nie zgodziłaby się na stosowanie czarów w miejscu publicznym, ale sytuacja była rozpacзлиwa. Już tyle lat musiała być staruszką. Połączy jeszcze kilka par i wreszcie odzyska młodość.

Przecież cel uświęca środki, prawda?

Parris wyciągnęła rękę po zaproszenie.

- Magiczne pióro - szepnęła Merry, kreśląc kółeczko wskazującym palcem. - Napisz od nowa. Parris jedzie z Bradem.

Gotowe. Merry cichutko opuściła hotel. Miała nadzieję, że Parris jest dziś w dobrej formie, bo w wysokich szpilkach wyląduje na statku wielorybniczym.

- To niemożliwe! - wymamrotała Parris. Wyjęła zaproszenie z torebki od Liz Claiborne i przyjrzała się jeszcze raz. Wyraźnie było napisane: „dok czwarty” i nazwa łodzi „Tabitha's Curse”. Jedyne łódź w czwartym doku była podobna do luksusowego jachtu jak kura do łabędzia.

Wracam do hotelu, pomyślała, gdy nagle owiła ją gęsta mgła. Parris zawahała się. Czy idzie w kierunku statku, czy się od niego oddala?

- Proszę tędy - odezwał się męski głos, - Pani łódź zaraz odpływa.

Czuła na ramieniu dotyk dłoni, ale w białej otulinie nie mogła dostrzec twarzy nieznanego. Nie chciała stracić okazji, żeby zdobyć darowiznę od Kingmana, więc pozwoliła, by ją prowadził.

Chwilę później wchodziła już na trap. Słyszała, jak woda uderza o burtę łodzi, czuła delikatne kołysanie i słyszała okrzyki załogi: „Oddać cumy!” i „Nabrać pary!”.

Ale wciąż nic nie widziała. Co to za dziwna mgła?

Po omacku znalazła poręcz. Może kiedy łódź oddali się od brzegu, widoczność na tyle się poprawi, że uda się zejść do Kingmanów. Nie chciała poruszać się po omacku, mając na nogach szpilki od Ralphi Laurena. Świetnie pasowały do sukienki bez rękawów w czarno-białe ukośne pasy, ale nie były najbardziej odpowiednie do chodzenia po łodzi.

Minęło pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Mgła była wciąż gęsta jak zupa. Pomarańczowy krążek słońca bez rezultatu usiłował przebić się na niebie. Nagle skądś doleciał bardzo nieprzyjemny zapach. Ojej, pewnie jakąś łódź przepływa obok albo woda w zatoce tak cuchnie. Ale to zaraz zniknie.

-Co pani tu robi?

Odwróciła się w stronę, z której dochodził głos. Mgła rozstała się trochę i Parris spostrzegła, że stoi oko w oko z Bradem Smithem.

A co pan robi na jachcie Kingmanów?

Kingmanów? - Roześmiał się. - Wiem, że lubią ocean, ale to dla nich zbyt prymitywna łajba.

Co pan mówi? - Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mgła zniknęła, odsłaniając statek.

O Boże! Parris otworzyła usta ze zdumienia. Grube liny leżały zwinięte na wysłużonym drewnianym pokładzie. Na środku dziobu stał wielki żuraw. Ze ścian sterowni luszczyla się biała farba, a okienka były przyprószone solą morską.

A najgorszy był ten fetor. Parris nie miała już wątpliwości, skąd pochodzi.

Zdechłe ryby! Nigdy w życiu nie czuła tak straszego odoru. Parę kroków dalej mężczyzna w żółtym kubraku splukiwał szlauchem pokład. Niestety wstrętna woń utrzymywała się w dalszym ciągu.

Brad zatoczył ręką koło.

To „Tabithas Curse”, statek wielorybiczny.

Wie... wielorybiczny?

Tak. Nie mogę uwierzyć, że panią tu widzę. Nie wiedziałem, że pani lubi kaszaloty.

Nie lubię! To koszarne nieporozumienie. - Wyjęła z torebki zaproszenie. - Tu jest napisane „Lunch na jachcie Kingmanów”, widzi pan? - Podsunęła mu przed oczy kartkę.

Umiem czytać. - Ze złością odepchnął kartkę. - Może jestem głupi, ale nie aż tak.

Nigdy tego nie mówiłam

Czasem nie trzeba słów.

Co to ma znaczyć?

Widziałem, jak pani na mnie patrzy. Uważa mnie pani za idiotę, bo nie umiem dopasować koszuli do spodni. Codziennie pływam na takich łodziach. - Rozejrzał się wokół.

- Garnitur byłby trochę nie na miejscu.

Mimo to wyglądał całkiem dobrze. Miał na sobie granatową bluzę i spodnie khaki podkreślające opaleniznę i męską sylwetkę.

Był bardzo muskularny. I bardzo... przystojny!

Przełknęła ślinę, robiąc krok w tył. Nie da niczego po sobie poznać. Wystarczy, że znalazła się na tym okropnym statku. Nie popełni więcej błędów.

Niech zaraz zawrócą do brzegu - zażądała.

Nie ma mowy.

Nie mogę zrezygnować z lunchu u Kingmanów. Mają przekazać eksponaty na moją aukcję.

A ja nie mogę zrezygnować z szukania wielorybów. Zaprowadzą mnie do kałamarnic. - Spojrzał na ocean. -Przynajmniej taką mam nadzieję.

Nie mogę siedzieć przez cały dzień na tej nędznej skorupie!

Powoli zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

W tych butach na pewno nie.

W żadnych butach! - Była wściekła, że jej perfidne ciało zareagowało podnieceniem na spojrzenie Brada. - Musimy zawrócić.

Przykro mi - uśmiechnął się - ale znów jest pani skazana na moje towarzystwo.

Nie na długo. - Wyciągnęła z torebki telefon komórkowy. Pusty czarny ekran! Bateria siadła... W ferworze ostatnich przygotowań przed aukcją zapomniała ją naładować. Wymamrotała pod nosem przekleństwo. - Czy mogło mnie spotkać coś gorszego?

Oczywiście, ale skoro już musi tu pani tkwić, to może warto by poszukać coś dobrego w tym, że znalazła się pani na tym statku?

Parris spojrzała na zniszczony i cuchnący pokład.

- Nie sądzę.

Wzruszył ramionami.

- Jak pani uważa. - Wszedł po schodkach do sterowni.

Było tylko jedno rozwiązanie. Bunt.

Godzinę później Brad zobaczył, że Parris jest pod pokładem i zaciska kurczowo dłoń na stoliku.

- Będzie pani tu siedzieć przez cały dzień?

Powolnym ruchem odwróciła ku niemu głowę. Jej twarz była szara, prawie zielonkawa. Usta miała mocno zaciśnięte, jakby powiedzenie tylko jednego słowa mogło od razu spowodować mdłości.

Uśmiechnął się. Jerry, okupujący jak zwykle miejsce przy maszynie do kawy, spojrzał na Brada pytająco, który jednak nie spieszył się z wyjaśnieniami.

- Za duże fale na oceanie? - spytał z niejakim sadyzmem, uważał bowiem, że Parris zasłużyła na karę za wyniosłość i zarozumialstwo.

- Proszę mnie zostawić w spokoju! - rzuciła gniewnie.

Brad się roześmiał. Wziął ją za rękę i pociągnął delikatnie do góry.

Chodźmy. Tutaj nie poczuje się pani lepiej.

Nie chcę czuć się lepiej. Chcę umrzeć. - Przycisnęła dłoń do żołądka.

Proszę mi zaufać.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Musiała jednak czuć się naprawdę fatalnie, bo powlokła się z nim na wiotkich nogach. Pomógł jej wejść do góry po drabince, bo obcasy wpadały do dziur w aluminiowych stopniach.

W pewnej chwili wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Objął wąską talię i kiedy Parris zrobiła krok, jej jedwabna suknia otarła się o jego dłoń. Zupełnie jakby dotknął nagiego ciała...

Z wrażeniaomal nie spadł z drabinki. Lepiej będzie, jeśli trochę się odsunie.

Tylko że teraz jeszcze lepiej widział linię zgrabnych pleców, łuk pośladków i sprężyste biodra.

Łódź zakołysała się na fali i Parris zatoczyła się wprost w jego ramiona. Bradowi zrobiło się gorąco.

- Ostrożnie - powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Gigi patrzyła, jak zataczają się oboje niczym pijacy, po czym wystawiła pysk do słońca.

- Jestem ostrożna. - Parris odsunęła się.

Hm. Może zarużmiała dama nie jest jednak obojętna na jego wdzięki.

Potrząsnął głową. Płynął statkiem po to, żeby prowadzić badania. Powinien zebrać ważne informacje, jeśli chce przekonać do swoich planów władze fundacji. Skoro tematem jego pracy nie były relacje biologów oceanicznych z kobietami z wyższych sfer, to powinien skoncentrować się na kałamarnicach i wielorybach, a nie na fantastycznych nogach pewnej młodej damy.

Parris weszła na ostatni stopień, potem wyprostowała się i zrobiła szybko dwa kroki naprzód. Zachwiała się i jej twarz znów zrobiła się żółtozielona.

Brad szybko objął ją w talii. Do diabła, to nie był dobry pomysł. W dotyku była tak cudowna, że poczuł się jak w niebie. Niech pani chwyci się poręczy, i patrzy na horyzont.

Co? Dlaczego?

Proszę mi zaufać. To pomaga.

Zacisnęła usta i zamknęła oczy, łapiąc się za brzuch.

- Tak będzie jeszcze gorzej - szepnął jej do ucha. Cała załoga statku z wielką ciekawością obserwowała ich. Tak

naprawdę wpatrywali się w Parris. Piękne kobiety o zgrabnych nogach na wysokich obcasach i w króciutkich sukienkach były rzadkimi gośćmi na „Tabitha's Curse”.

- Jeszcze gorzej? - Zajączała boleśnie i znów się zachwiała.

Zaraz może zdarzyć się nieszczęście, pomyślał Brad. Stała za nią i oparł jej dłonie na poręczy.

Proszę otworzyć oczy.

Nie lubię, jak mi się rozkazuje.

Jeśli zaraz nie spojrzysz pani na horyzont, to panią po-laskoczę.

To poskutkowało. Odwróciła się ku niemu, otwierając oczy.

Nie ośmieliłby się pan.

Przekonamy się - rzekł z uśmiechem. - Niech pani nie patrzy na mnie, tylko tam, gdzie woda styka się z niebem.

Dlaczego?

Och, na miłość boską, Parris! Niech pani nie pyta, tylko zrobi to, co mówię.

Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem, ale posłuchała. Brad wciąż trzymał ją mocno w pasie.

To nie było rozsądne, bo w tej pozycji myślał o wszystkim, tylko nie o pracy. Czuł dotyk jej sprężystego ciała i jej każdy oddech. Jego zmysły falowały jak statek na oceanie. Do diabła!

Czuje się pani lepiej?

Tak, znacznie lepiej. - Odsunęła się.

Dzięki Bogu! Z uczuciem ulgi puścił ją, choć wciąż był spięty.

-Muszę szukać... - Miał pustkę w głowie. Jak nazywają się te wodne ssaki? A, wieloryby. - Muszę szukać wielory-

bów. Teraz zostawię panią samą. Jeśli poczuje się pani gorzej, proszę patrzeć na horyzont.

Ale nie mógł tak po prostu odejść, bo Parris utkwiała w nim spojrzenie szmaragdowych oczu.

Co wieloryby mają wspólnego z kałamarnicami?

Czy wie pani coś o wielkich kałamarnicach?

- Tylko to, że są ohydne. - Skrzywiła się.

Brad zachichotał.

- Być może, ale również fascynujące.

Pan rzeczywiście potrzebuje pomocy konsultanta.

Kałamarnice nie są „fascynującym” tematem do rozmowy z kobietą, którą się pan interesuje.

Interesuję się panią?

Tego nie powiedziałam - zachnęła się.

W takim razie mogę rozmawiać z panią o tych słodkich głowonogach.

Och... No dobrze. Dlaczego one tak pana ciekawią?

Nie wszystkie, tylko te największe. Na pewno istnieją, ale nikt nie widział ich żywych.

To skąd wiadomo, że istnieją?

Bo co jakiś czas znajduje się martwe sztuki. Dwie znaleziono u wybrzeży Florydy w 1969 i 1978 roku.

To niewiele, prawda?

Mówię o całych okazach, natomiast ich fragmenty dość często są znajduwane w żołądkach wielorybów i rybackich sieciach.

Fuj! - Znów spojrzała na horyzont. - Jak rozumiem, chce pan teraz złowić żywą kałamarnicę?

Roześmiał się.

- Każdy biolog morski stąd po Nową Zelandię oddałby za to prawą rękę, ale podczas tego rejsu nie mam w pla-

nie łowienia kilkumetrowej kałamarnicy, natomiast zamierzam sfotografować kaszalota, jak na nią poluje.

A jak pan zrobi zdjęcie? Wskoczy pan z kodakiem do wody?

Mam kamerę. - Wskazał na jaskrawożółte urządzenie wideo przymocowane do żurawia na dziobie. - Razem z moim asystentem Jerry'm sfilmujemy żerującego kaszalota. Tylko one zjadają wielkie kałamarnice. Skoro nie można znaleźć ofiary... ..to trzeba poszukać myśliwego.

Właśnie.

W tej chwili poczuli, że łączy ich wspólny cel. Brad miał ochotę przytulić do siebie Parris, żeby przedłużyć ten moment. Od jak dawna nie dopuszczał kobiet do swego świata?

Łatwa odpowiedź. Od zawsze. Żadna kobieta, z którą się spotykał, nie interesowała się jego pracą, a już zwłaszcza Susan. Parris należała do tego typu kobiet, lecz jednak bardzo się od niej różniła.

Tylko że ta jasnowłosa syrena żyła w świecie, który on porzucił. W świecie blichtru, do którego chciała go przyciągnąć matka. Parris nie była dla niego odpowiednią kobietą i na pewno nie powinien myśleć o tym, żeby ją całować. Mimo to myślał o tym nieustannie.

Dlaczego tak bardzo go złościła, a zarazem fascynowała?

Kątem oka na powierzchni oceanu dostrzegł fontannę wody, a potem długi brązowoszary cień, który przemknął po powierzchni.

Proszę spojrzeć - powiedział cicho.

Wieloryb! - zawołała zachwycona.

Tak. Ściślej mówiąc, kaszalot. Jego głowa jest wielka i prostokątna. Kaszaloty mają największe głowy ze wszystkich ssaków na świecie. Mogą stanowić nawet jedną trzecią długości ciała.

Naprawdę?

Tak. Po kształcie głowy i barwie można poznać, że to właśnie jest kaszalot.

Jest ogromny. Nigdy nie myślałam... - Parris aż zaniemówiła z wrażenia.

Długość samców dochodzi do dwudziestu metrów. Ten nie jest taki duży, ma około ośmiu metrów. Pewnie nastolatek.

Czy zbliży się do statku?

Możliwe. Kaszaloty są dosyć przyjazne.

Położyła na jego ręce delikatną i ciepłą dłoń. Nigdy dotąd nie była taka miła. Zapragnął być przy niej jeszcze bliżej.

O nie! Chowa się pod wodę.

Wróci. Poza tym kaszaloty zwykle nie pływają pojedynczo.

Zamarła w oczekiwaniu. Jej oczy pojaśniały, a na wargach drgał uśmiech. Zupełnie zapomniała o morskiej chorobie i drżała z niecierpliwości jak dziecko przed Wigilią.

Tam jest następny - powiedział Brad. - Widzi pani, jak nieruchomo jest zawieszony na powierzchni? To się nazywa kłodowanie.

Bo unosi się jak kłoda?

Tak.

Znów poczuli między sobą dziwną bliskość. Choć Brad pamiętał, że powinien trzymać się od Parris z daleka, objął ją i tłumaczył, gdzie jest otwór wytryskowy i jak po długość-

ci kaszalota doświadczeni wielorybnicy potrafią ocenić, ile czasu zwierzę potrafi wytrzymać pod wodą bez oddechu. Statek był tuż przy wielkim ssaku. W każdej innej sytuacji Brad rzuciłby się do kamery, żeby jak najszybciej zarejestrować to spotkanie, ale jakoś wcale nie myślał o pracy. Całkowicie skoncentrował się na szczupłej kobiecie, która odpychała go od siebie, a zarazem przyciągała. To było niebezpieczne dla jego kariery i dla niego. Bardzo, bardzo niebezpieczne.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Słońce już zaszło, gdy „Tabitha's Curse” zawinęła do portu, ale Parris wcale nie zwracała uwagi na to, która jest godzina. Po raz pierwszy od dawna zapomniała o aukcji i obowiązkach, które czekały na nią na brzegu. Myślała tylko o cudownym świetle, jaki Brad pokazał jej pod powierzchnią oceanu.

I o drugim obliczu mężczyzny, który wydawał jej się trampedem. Bardzo się myliła.

To było niesamowite - powiedziała, gdy zapakował sprzęt i stanął obok niej na dziobie. Kiedy kamera wynurzyła się z wody, długo z Jerryem notowali wyniki badań, a potem chowali do pudeł komputery, ekrany wideo, aparaty i wszystkie kable z delikatnością jubilerów zajmujących się drogocennymi kamieniami.

Nigdy mnie to nie znudzi - powiedział Brad.

Port był coraz bliżej. Parris zamknęła oczy, a potem szybko je otworzyła, ale nic się nie zmieniło. Mimo to miała nadzieję, że może zepsuje się silnik albo znów pojawi się gęsta mgła.

Wszystko jedno co, byle nie trzeba było wracać do codzienności. Nikomu nie przyznałaby się, jak dobrze czuła się tutaj z Bradem. Gigi, która przespała na słońcu prawie

cały dzień, teraz przyczłapała do niej. Parris z roztargnieniem poklepała ją po głowie.

Z lubością wciągnęła słone powietrze. Od dawna tak dobrze się nie bawiła. Wyprawy na zakupy, przyjęcia... to wszystko przestało ją nagle interesować. Cały ich urok pękł jak mydlana bańka.

- Dziś zrozumiałam, jak wspaniałe rzeczy można dostrzec, jeśli jest się cierpliwym. - Roześmiała się. - To nie jest moja mocna strona, na wypadek gdybyś tego nie zauważył.

Pasjonująca wycieczka tak zbliżyła ich do siebie, że w naturalny sposób przeszli na ty.

Cieszę się, że ci się podobało. Myślałem[^] że się znudzisz, bo nie spotkaliśmy żadnej wielkiej kałamarnicy.

Olbrzymie kałamarnice nie są jedyną atrakcją w oceanie - odparła z uśmiechem.

Nie przyznała się, że od Chwili, gdy Brad wybawił ją od choroby morskiej, nie nudziła się ani przez chwilę. Najpierw obserwowowała wieloryby, potem patrzyła, jak kamera zanurza się w oceanie. Wtedy Parris i Brad poszli do sterowni, gdzie był laptop, ekran telewizyjny i system nagrywania połączony z kamerą. Oczarowana obserwowowała barwne podwodne życie.

Ale często przy tym zerknęła na Brada. Z zafascynowaniem oglądał wszystko, od malutkich rybek szybkich jak błyskawica po wieloryba niemal ocierającego się ogonem o kamerę. Było jasne, że uwielbiał swoją pracę.

Miał to, czego ona wciąż szukała. Bezinteresowną pasję. Brad Smith był bardzo wartościowym człowiekiem. Jeszcze nigdy nie spotkała kogoś takiego. Miał w sobie tyle siły i energii.

Niełatwo byłoby sprostać takiemu partnerowi.

Myśl o tym jednocześnie przerażała ją i fascynowała. Brad oparł się o poręcz.

Marzę o tym, żeby zdobyć fundusze na zainstalowanie kamery na grzbiecie kaszalota.

Po co?

Mógłbym z oddali obserwować, jak się porusza, bez względu na pogodę czy rejsy statków. Poza tym nikomu jeszcze nie udało się zainstalować kamery na grzbiecie kaszalota, choć podejmowano takie próby z wielkimi białymi rekinami. - Uśmiechnął się. - Niełatwo nakłonić dwudziestometrowe zwierzę do współpracy.

I niełatwo nakłonić kobietę mierzącą metr siedemdziesiąt pięć, żeby robiła, to, co chcesz - stwierdziła z przekąsem.

To prawda. - Zachichotał. - Jesteś dzisiaj bardzo miła. Co się stało z tą wściekłą syreną, którą wyciągnąłem z wody?

Nie rozumiem.

- Byłaś mało przystępna, zadzierałaś nosa, pyskowałaś.

Rumieńce wystąpiły na jej policzki.

Przepraszam.

Przepraszasz?

Hej! To ty jesteś niesympatyczny.

Ja?

- Popłyniesz z tymi wielorybami szybciej, niż myślisz, jeśli nie przestaniesz mnie dręczyć. - Położyła rękę na jego plecach, udając, że chce go popchnąć... i poczuła się tak jakoś... Nie! Powinna myśleć o pracy, a nie o romansie.

Czy nie przekonała się, że miłość to tylko puste obietnice, ułuda, a potem pustka?

Brad z uśmiechem wziął ją za rękę.

Czy przemyślałaś moją prośbę?

Chodzi o tę zmianę wizerunku?

Tak. W końcu jesteś mi coś winna. Uratowałem cię przed rekinami.

Dobijali do portu. Kapitan wyłączał maszyny, ustawiając statek równolegle do nabrzeża.

Nie mogę. Nie mam czasu.

Nie możesz, czy nie chcesz?

Nie rozumiesz. Ja...

-Rozumiem doskonale.

-Ale...

Nie chcesz narażać swojej reputacji, zajmując się łowcą kałamarnic?

Nie o to chodzi. Ta aukcja jest dla mnie bardzo ważna. I dla mojej firmy. Muszę się na tym skoncentrować. Nie mogę myśleć o niczym innym.

Spojrzał jej prosto w oczy.

Chcesz powiedzieć, że pieniądze mojej matki są dla ciebie aż tak istotne?-

Twojej... twojej matki?

Odwrócił się, spoglądając na horyzont.

Victoria Catherine Smith urodziła mnie przed laty.

Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Bo nie mam zwyczaju chwalić się, kim jestem. Wolę mieć kałamarnice na T-shirtach niż rodzinny herb. - Powiedział to z takim obrzydzeniem, jakby przynależność do jego rodziny była czymś poniżającym.

Statek wreszcie się zatrzymał. Marynarze przywiązali liny i spuścili trap. Koniec wycieczki, trzeba zejść na ląd.

-Skoro należysz do takiej rodziny, to po co ci potrzebna moja pomoc? Stać cię na to,- żeby zatrudnić, kogo chcesz.

- Westchnęła głęboko, odwróciła się. - Mówiłeś, że brakuje ci pieniędzy. To pasowało do twojego wyglądu: rozczłapane sandały i podarte szorty. - Potrząsnęła głową. - Kłamałeś. Nic nie rozumiesz, Parris.

Świetnie rozumiem. Nie uważaj mnie za głupią. Wcale nie potrzebujesz mojej pomocy. Jeśli chciałeś mnie wykorzystać, to powinieneś zrobić to mądrzej. - Niczym się nie różnił od tych cwanych bubków. Mówił to, co chciała usłyszeć, i łąał w żywe oczy. - Myślałam, że jesteś inny, ale jesteś jak te wieloryby. Ukrywasz głęboko prawdę. Stwarzasz pozory, że jesteś kimś innym, sir. - Odwróciła się, żeby zejść ze statku. Ośmiocentymetrowe obcasy szpilek od Ralpa Laurena ślizgały się po trapie. Jednym ruchem ściągnęła je z nóg i wrzuciła do wody, po czym poszła dalej bosą.

Do diabła z Bradem Smithem! Za każdym razem traciła przez niego eleganckie buty.

Merry uśmiechnęła się, chowając do kieszeni magiczny telefon. Wszystko układało się dobrze między Parris i Bradem. Tylko ta kłótnia pod koniec wycieczki! Po co Brad mówił, że ta snobka Victoria Catherine Smith jest jego matką? Gdyby ci młodzi postępowali zgodnie z jej planem, od dawna byłiby w sobie zakochani, a ona odzyskałaby szybciej dawną postać. Co robisz, Merry? - spytała jej matka chrzestna, zakradając się od tyłu cichutko jak kot.

Podziwiam widoki - odparła, siląc się na spokój.

Nie odprawiasz żadnych czarów?

Ja? Nie - skłamała.

Jak ci idzie z tą nową parą?

-Och, znakomicie. - Kolejne kłamstwo, ale niedługo wszystko się na pewno uda. Brad i Parris muszą tylko lepiej się poznać. I jeszcze bardziej się polubić.

Jeśli kiedykolwiek zainteresuję się kobietą, możesz pokroić mnie na kawałki i rzucić rekinom na pożarcie - powiedział Brad do Jerry'ego następnego ranka.

Co ty mówisz? Przecież ona jest miła i piękna. Nie spodobała ci się?

Pozory mylą. - Zdaje się, że to samo powiedziała o nim Parris. Ale nie miała racji. On nikogo nie udawał.

Zresztą kto by się przejmował tym, co ona myśli. Jerry przejechał ręką po rozwichrzonej rudej czuprynie.

- Może to ty zachowujesz się nie tak?

Brad skrzywił się ze złości.

Czy nie powinieneś wpisywać do tabelki naszych wyników?

Nie pali się. - Jerry nalał sobie kolejny kubek kawy i przysunął krzesło do biurka. - Znalazłeś wspaniałą, seksowną kobietę i jeszcze narzekasz. Albo jesteś z urodzenia głupi, albo za długo pływasz po oceanie. Ta sól wyżarła ci mózg.

- Parris jest ładna, ale działa mi na nerwy.

Jerry roześmiał się.

Takie kobiety są najciekawsze. Doprowadzają cię do pionu.

Nie pasujemy do siebie?

Dlaczego? Masz coś przeciwko ładnym i mądrym kobietom?

Ona organizuje aukcję mojej matki.

-No to co?

To ją dyskwalifikuje.

Nie rozumiem cię. - Jerry westchnął. - Jeśli kiedyś będą kręcić drugą część „Rozbitka”, powiem, żeby obsadzili cię w roli pustelnika.

Nie jest tak źle.

Nie? Odkąd dwa lata temu zerwałeś z Susan, masz takie nastawienie do kobiet, że chyba niedługo znajdziesz się w klasztorze.

Nie ma mowy.

W takim razie weź prysznic i jedź do hotelu. Wieczorem jest przyjęcie.

Tam codziennie jest przyjęcie, przecież to elegancki świat.

Tym bardziej powinieneś tam być, żeby ktoś nie poderwał ci Parris.

Nie jestem zaproszony.

Nazywasz się Smith. Wystarczy, że podasz swoje nazwisko.

Wiesz, co o tym myślę.

Wiem, ale jednak czasahii dobrze jest mieć bogatą rodzinę.

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie wykorzystasz swego nazwiska, żeby zdobyć fundusze na badania - dodał półgłosem.

- Ludzie z zasadami bywają nie do wytrzymania.

Wiele razy poruszali już ten temat. Jerry nie wiedział, jakie zobowiązania spadłyby na Brada, gdyby przejął spadek po ojcu. Musiałby związać się z firmą, uznać zwierzchnictwo zarządu i zrezygnować z własnych planów.

Bradford Smith senior wyraził się jasno w testamencie. Jego syn ma zająć po nim miejsce w rodzinnej firmie albo nie do stanie ani grosza.

Tylko matka mogła zwolnić go z obowiązku prowadzenia rodzinnej firmy, jeśli popierałaby jego karierę jako biologa morskiego - ale oczywiście tak nie było.

Zresztą to bez znaczenia. Był dorosły i nie będzie błagać o pieniądze. Co z tego, że teraz miał poważne kłopoty finansowe? Poradzi sobie.

Odetchnął głęboko. Nie mógł dłużej zwlekać z przekazaniem złej wiadomości.

Jesteśmy splukani, Jerry. Ostatnia wyprawa pochłonęła większość naszych funduszy.

Mhm. - Jerry nadal wpisywał dane do komputera.

Chcę powiedzieć, że nie mam pieniędzy, żeby zapłacić ci w przyszłym tygodniu.

Mhm. - Jerry dalej wpisywał liczby.

Muszę cię zwolnić, Jerry.

-Mhm - mruknął, stukając palcami w klawiaturę. Brad podszedł do komputera i położył dłoń na klawiaturze, uniemożliwiając mu pisanie.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

-Tak. Nie możesz mi zapłacić i mnie zwalniasz. Wiem już wszystko. - Odepchnął rękę Brada. - Czy mogę wrócić do pracy?

- Mówię poważnie, Jerry. Nie ma pieniędzy, nie ma wypłaty. Dla ciebie ani dla mnie.

Jerry przestał pisać.

Wiedziałem, że tak będzie.

Zawsze mówiłem ci szczerze o naszych finansach.

Dlatego odłożyłem trochę na czarną godzinę. - Jerry spojrzął przez okno na zachód słońca. - Czarną jak noc. I zostaję.

Nie mogę ci na to pozwolić.

- To lepiej idź na siłownię potrenować, bo będziesz musiał mnie stąd wyrzucić siłą. Zjadłem tyle pizzy z pepperoni, że łatwo ci to nie przyjdzie. - Znów zabrał się do pisania.

Brad uśmiechnął się i potrząsnął głową.

A jeśli nie dostanę pieniędzy z fundacji?

Dostaniesz. Masz świetne wyniki. W zeszłym miesiącu odkryłeś nowy gatunek kałamarnicy. Wprawdzie nie była to kałamarnica olbrzymia, ale udowodniłeś, że wciąż istnieją nieodkryte głowonogi w oceanie. Poza tym nie wiadomo, jak działają ich organy emitujące światło i czy jony amonu z ich tkanki da się wykorzystać w praktyce. ^ Oczywiście Jerry'ego zrobiły się okrągłe z podniecenia, jak zawsze, gdy zaczynał mówić o pracy. - Samo to zasługuje na badania. Masz już spore odkrycia. Wiem, że dostaniesz te pieniądze.

To dobrze, że był taki pewny, bo Brad prawie się załamał.

Jerry mu ufał. Stawiał wszystko na jedną kartę, a wynik wcale nie był pewny. Brad miał teraz dwa wyjścia: albo wróci na łono rodziny i zaprzepaści swoją karierę, ale będzie mieć pieniądze, albo musi zrobić wielkie wrażenie na władzach fundacji.

W tym celu potrzebował doskonałych wyników badań i nie-nagannych referencji.

I Parris Hammond.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Otworzyła drzwi i rzuciła się gościowi na szyję.

Do diabła! Nareszcie jesteś!

Hej, czy tak się wita siostrę? - spytała Jackie.

Zostawiłaś mnie na pastwę losu. - Parris wzięła się pod boki.

Byłam w podróży poślubnej.

Dobrze, wybaczam ci.

Jackie weszła do salonu i opadła na sofę.

Ten lot trwał tak długo. Zdażyłam się stęsknić za Stevenem i Suzy. - Położyła dłoń na słuchawce telefonu, jakby w ten sposób mogła poczuć więź z nowo poślubionym mężem i córką. - Może powinnam do nich zadzwonić.

Musisz pomóc mi w aukcji. Zostały już tylko trzy dni i wszystko idzie jak po grudzie. Poza tym...

-Co?

Parris z westchnieniem przysiadła na oparciu fotela i otworzyła notes.

Wysłałam informacje do prasy, ale powiedzieli, że nie będą o tym pisać, bo to nie jest to wiadomość zasługująca na uwagę.

Jak to zrobiłaś?

Jak? Po prostu napisałam, że organizujemy aukcję.

W porządku - powiedziała Jackie. - Przefaksuję list

i zadzwonię do mediów. Wytlumaczę im, jakie korzyści przyniesie budowa akwarium z podwodnym zbiornikiem i opowieści o tych świecących stworach.

Parris poczuła, że kamień spadł jej z serca. Jackie wróciła i wszystko zaczynało układać się tak jak trzeba.

- Świetnie. Jedna sprawa załatwiona. Z drugą chyba sobie poradziłam. Programy, które zaprojektowałaś, zostały zepsute w drukarni. Najpierw wydrukowali pliki w złej kolejności, a potem oświadczyli, że poprawki zajmą trzy dni, jakbym to ja była temu winna. Znasz mnie i wiesz, że nie lubię dyletanctwa - dodała ze śmiechem.

Jackie zachichotała.

- W jednym na pewno jesteś niezrównana, a mianowicie w załatwianiu zwrotów i kupowaniu na promocjach. Kiedyś widziałam, jak poradziłaś sobie z okropnym klientem w Bloomingdale's. Personel sklepu był gotów zaoferować ci stanowisko menedżera i stały rabat na produktach Prady.

Parris starała się ukryć rozczarowanie. Wolałaby być świetna w jakiejś innej dziedzinie. Ale czym do tej pory miała okazję się wyróżnić? Miała nadzieję, że odniesie sukces w organizowaniu aukcji pod nieobecność siostry, ale nic nie układało się zgodnie z planem.

To żaden talent. Nie można zbudować kariery na wymianie rozmiaru 34 na 36 i pilnowaniu, żeby nie przepłacić w sklepie. Ach, tak? - obruszyła się Jackie. - A co my tu robimy?

To co innego.

Aha. Powiedz mi w takim razie, co zrobiłaś z folderami, ty moja bogini zakupów.

Jackie uśmiechnęła się do siostry. Zrzuciła z nóg pantofle i ułożyła się wygodnie na sofie.

Pojechałam do innej drukarni i załatwiłam, żeby wydrukowali je od ręki w zamian za reklamę firmy na ostatniej stronie okładki. Wzięli nawet dziesięć procent mniej i przekazali różnicę na fundusz budowy akwarium.

To wspaniale, Parris! Świetny pomysł!

Pomysł? Naprawiłam tylko to, co zostało strasznie spaskudzone.

Spisałaś się na medal! Widzisz, jaka jesteś zdolna? Właśnie o tym mówiłam. Do diabła, wcale mnie nie potrzebujesz.

Parris przestraszyła się. Nigdy w życiu nie poradziłaby sobie z aukcją bez pomocy siostry. Była już zmęczona samotnymi zmaganiem. Załatwienie rabatu w drukarni nie oznaczało, że ma prawdziwy talent do negocjacji.

Życie było o wiele łatwiejsze, gdy nie musiała się o nic martwić. Córka Jeffreya Hammonda, królowa spotkań towarzyskich elity... Nikt nie oczekiwał od niej niczego poza zwykłymi strojami i salonową konwersacją. Popatrzyła na inteligentną młodszą siostrę i nagle poczuła się strasznie głupia.

Mówisz tak dlatego, że nie chce ci się nic robić - oznajmiła. - Mam już tego dosyć. Kłóćące się małżeństwa. Niechętne media. Kapryśni cateringowcy. - Położyła notes na kolanach Jackie. - Wróciłaś, więc teraz twoja kolej.

Nie możesz tak mówić, Parris. To także twoja sprawa. Tata... Jeśli tata chciał, żebyśmy odniosły sukces, to powinien udzielić nam wskazówek. Zrzucił to wszystko na nas, a ty z kolei na mnie. A teraz ja na ciebie. - Ruszyła w kierunku drzwi. - Idę na spacer.

Parris wyszła tak szybko, że nie zdążyła nawet się przebrać. Miała wciąż na sobie kamizelkę i szorty, które włożyła po powrocie z wycieczki. Włosy, jeszcze wilgotne po kąpiel, chłodziły jej plecy w parny wieczór.

Ponieważ sandały przeszkadzały w energicznym marszu po piasku, niosła je w ręku. Usiadła na plaży parę kroków od wody. Bardzo żałowała, że tak ostro odezwała się do Jackie. Będzie musiała ją przeprosić. Tego lata naprawdę zbliżyły się do siebie i nie chciała tego popsuć. W końcu dobrze jest mieć siostrę.

Jako siostry przyrodnie prawie całe życie mieszkały osobno. Ich ojcem był Jeffrey Hammond, lecz matki miały różne. Ojciec nigdy zbyt nie troszczył się o rodzinę, lecz teraz zmusił córki do bliższych kontaktów, przekazując im firmę. Intencje pewnie miał dobre, zaprawione jednak niemałym szaleństwem, skoro uważał, że Parris poradzi sobie w interesach.

Do tej pory nie wychodziło jej najlepiej. Nie umiała zapanować nad sytuacją, gdy małżeństwo Phipps-Stoverów się kłóciło. Nie zorganizowała dobrej kampanii w mediach. Na dodatek nie była dziś na przyjęciu u Kingmanów i na pewno nie dostanie od nich darowizny. Zepsuła wszystko.

Co ojciec sobie myślał? Nie potrafię sobie z tym poradzić, dumiała smętnie.

Schowała głowę między kolanami. Pójdzie na to przekłete przyjęcie, a potem się zastanowi, czy w ogóle pokazać się na tej aukcji. To będzie wielki niewypał. Co prawda mieli wystarczającą liczbę przedmiotów do licytacji, ale poza tym wszystko szło nie tak jak trzeba. Może Jackie jakoś sobie z tym poradzi.

- Ocean wygląda o wiele ładniej, kiedy się na niego patrzy.

Parris podniosła głowę. Obok niej stał Brad Smith w jasnoniebieskiej koszuli z krótkimi rękawami i brązowych szortach. Z tego miejsca jego nogi wydawały się jeszcze dłuższe, a ramiona szersze.. Przez chwilę miała ochotę przytulić się do niego, żeby zapomnieć o wszystkich kłopotach, ale tylko odchrząknęła głośno. Nie chciała uzależniać się od mężczyzn, a już zwłaszcza od tego, który okazał się zupełnie inny, niż myślała. Jestem tu od paru tygodni - powiedziała - i ocean nic się nie zmienił.

Codziennie jest inny, a tak naprawdę zmienia się co chwilę. To tylko woda, która ma niebieski kolor. Przypływa, odpływa. To wszystko.

Za dużo czasu spędzasz w centrach handlowych.

A ty za dużo się czepiasz. - Spojrzała na niego z kwaśną miną. Brad kucnął obok niej.

Źle się wyraziłem. Chodzi mi o to, że większość ludzi nie zwraca uwagi na przyrodę. Ocean jest dla ciebie zawsze taki sam, bo nie przyglądasz mu się z bliska.

Może nie zauważyłeś, że siedzę na plaży. - Wyciągnęła dłoń w kierunku wody. - Ocean jest dwa metry stąd. Bliżej już być nie można.

- Można być bliżej, jeśli tylko się chce. - Spojrzał jej w oczy i od razu wiedziała, że nie chodzi mu o słoną wodę. Miał na myśli inną bliskości innego rodzaju przypływy i odpływy.

Głos uwiązał jej w krtani. Nie chciała, żeby Brad ją pocałował. Nie chciała być z nim blisko. Nie chciała mu ufać, polegać na nim czy choćby tylko go lubić. Ale tak było.

Jej wzrok padł na jego usta. Brad uśmiechał się. Bezwiednie oblizła górną wargę, jakby jej ciało zaczęło wysyłać sygnały nieakceptowane przez mózg.

Nie chciała?

Bardzo chciała!

Dlaczego nie bawisz się na przyjęciu?

Nie jestem w nastroju.

W takim razie mam świetną radę. - Wyciągnął do niej rękę.

Natychmiast zapomniała o wszystkich składanych sobie obietnicach. Jakaś siła przyciągała ją do niego.

Chcę ci coś pokazać - dodał.

Muszę... - Co takiego musi zrobić? Przekazała wszystko siostrze i jest teraz wolna jak ptak. Nie ma nawet przy sobie torebki ani telefonu komórkowego. Była sama z Bradem na plaży. Światło księżyca srebrzyło się na piasku, a fale oceanu szemrały cicho. - Dobrze.

Tak po prostu się zgadzasz? - Uśmiechnął się. - Czy mnie słuch nie myli?

Nie ciesz się za wcześnie, pogromco kałamarnic - odparła głosem pozbawionym zwykłej złośliwości.

To wszystko przez ten księżyc. I pustą plażę. No i podły nastrój. Nic poza tym.

Przynajmniej awansowałem z rybaka na pogromcę kałamarnic.

- Ruszyli po plażę.

Uważasz, że to awans?

Głównogi są mądre. Naukowcy nauczyli kałamarnice poruszać się w labiryncie i podnosić pokrywki pojemników z pożywieniem. Pokaż mi rybę, która to potrafi.

Niesamowite... Czasem mnie przerażasz. - Roześmiała się.

- Jeszcze nie widziałaś wszystkiego, skarbie.

Nagle zapomniała, w jak niemiłej atmosferze niedawno się rozstali. Nie chciała mu ufać, bo nie powiedział prawdy o sobie, lecz i tak mu ufała. Przecież też chciała być kimś innym. Gdy minęli teren ośrodka, plaża zmieniła się w wąski pasek otoczony z jednej strony starymi palmami.

Czy prowadzisz mnie ku wielkiej topieli, by zemścić za to, że zepchnęłam cię do wody?

Nieźle, ale myślę o czymś lepszym.

Lepszym?

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Aha, już wiem. Przywiążesz mnie do drzewa, posmarujesz miodem i zostawisz mrówkom na pożarcie.

To twój najlepszy pomysł w tym tygodniu.

Będziesz mnie torturować, aż zgodzę się na te konsultacje?

Ujął jej dłonie jedną ręką, jakby miał zaraz wyciągnąć sznur i spełnić tę groźbę.

- A zgodziłabyś się?

Szybko się wyswobodziła.

- Naprawdę nie wiem, po co ci potrzebna moja pomoc.

Nie spałam się dobrze, organizując tę aukcję. Nie potrafię nawet zadbać o siebie.

- Przecież zawsze wyglądasz jak top modelka.

Oparła się o pień palmy.

- To nie jest trudne. Wystarczy otworzyć żurnal albo kupić to, co wisi na manekinie. Ktoś inny wymyślił fasony i kolory.

Brad objął pień palmy, spojrzął Parris w oczy

- Nieprawda. Masz klasę,...

Tak? Uśmiechnął się.
Potrafisz porazić elokwencją.

Ojciec sporo wydał na moją edukację, staram się tego nie marnować.

Powiedz to mojej matce. Ona uważa, że moja praca naukowa to strata czasu... Ale zostawmy ten temat. - Wziął" Parris za rękę i poprowadził w kierunku brzegu. Na piasku połyskiwało okrągłe wgłębienie wyrzeźbione przez odpływającą falę. - Spójrz na to.

Kałuża jak kałuża.

Przyjrzyj się z bliska, to zobaczysz wspaniałe rzeczy. -Gdy schylił się i zanurzył dłoń w wodzie, na małej tafli pojawiło się żółtozielone światło.

Och! Co to jest?

To dwuwiciowce, Dinoflagellata, jednokomórkowe glony, które emitują światło, kiedy czują się zagrożone. Niektórzy naukowcy uważają, że to mechanizm obronny.

Czy... czy mogę spróbować?

Oczywiście.

Uklękła i pomachała ręką w kałuży. Żółtozielone światło roz-
błysło znów, jakby ktoś włączył prąd.

Niesamowite! Widziałam w nocy światelka na brzegu wyspy, ale nie miałam pojęcia, co to jest. Myślałam, że to skutek zanieczyszczenia środowiska.

Nie, to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Jesteś pewien, że te glony nie są napromieniowane?

-Nuklearne glony? Ależ skąd. Są zbyt małe, żeby dostrzec je gołym okiem, ale pod mikroskopem zobaczyłabyś, że to plankton morski posiadający dwie ruchome wici zbudowane ze skręconych włókien białka, które działają

jak pływają. Dzięki temu dwuwiciowce bardzo szybko poruszają się w wodzie ruchem spiralnym.

Czy wszystkie tak świecą? - Znów poruszyła ręką i zamarła, wpatrując się w kolejne błyski.

Tylko niektóre mają właściwości bioluminescencyjne. To reakcja chemiczna związana z zegarem biologicznym. Najwięcej związków chemicznych, które wywołują świecenie, jest wytwarzanych dwie godziny po zapadnięciu zmroku.

- To znaczy teraz?

Tak.

Ale mówiłaś, że to mechanizm obronny. W jaki sposób świecenie może uchronić je przed napastnikiem?

Kiedy czują go blisko siebie, rozbłyskują, żeby intruz mógł zobaczyć coś bardziej atrakcyjnego w pobliżu.

Odwracają od siebie uwagę? -Tak.

Odwrotnie niż kobiety.

- Niektóre wcale nie muszą się starać, żeby zwrócić na siebie uwagę - powiedział cicho. - I tak błyszczą z daleka.

Mógłby przysiąc, że się zarumieniła. Potem odwróciła głowę i znów zanurzyła rękę w wodzie.

- Czy to jedyne organizmy, które to potrafią?

Brad odchrząknął. Powinien trzymać się bezpiecznych tematów.

Niektóre gatunki kałamarnic także posiadają zdolności bioluminescencyjne, choć wykorzystują je w innym celu.

W jakim?

Żeby przyciągać samców - odparł, czując na sobie jej spojrzenie. - Są dwa gatunki głowonogów, Japatella i Eledonella, które mają organy emitujące zielone światło wokół

otworu gębowego. - Powoli przesunął palec po konturach jej ust, które w blasku księżyca wydawały się większe i bardziej kuszące. - Kiedy samce je zobaczą, jest już po nich.

- Och... - szepnęła.

Nagle przestały go obchodzić Dinoflagellata czy głowonogi. W łagodnym świetle księżyca widział tylko Parris.

Milczała, oddychając głośno.

Pochylił się i pocałował ją.

Błyski światła w wodzie były niczym w porównaniu z eksplozją, jaką poczuł, gdy jego usta dotknęły jej warg. Parris objęła go tak mocno, jakby bała się, że go straci. Była słodka jak wanilia i pachniała czekoladą. Położył ją na miękkim piasku...

Nagle wyrwała się z jego uścisku.

- To szaleństwo! Wcale nie chcę się z tobą całować! - Jak mogła tak się zapomnieć? Brad Smith w żadnym razie nie był dla niej odpowiednim mężczyzną. Przecież udowodnił, że nie różni się od innych mężczyzn, z którymi się kiedyś spotykała. Nie powiedział o sobie prawdy. Nie interesowały go jej umiejętności. Kłamał, że potrzebuje jej konsultacji, to był tylko sposób na uwodzenie. Powinna myśleć o karierze, a nie o człowieku, który może pokrzyżować jej plany zawodowe! Oczywiście jest bardzo przystojny, ale na szczęście w porę odzyskała rozum...

Brad powoli wstał.

Wydawało mi się, że chcesz.

Źle ci się wydawało.

Ejże... - Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

Nie znaczy nie. - Jej serce biło jak szalone, w głowie czuła straszny zamęt.

Naprawdę nie chcesz, żebym cię pocałował?

Chyba bym cię spoliczkowała. - Akurat! Gdyby ją pocałował, zapomnieliby o całym świecie i...

Nie wątpię.

To dobrze, że rozmawiamy tak szczerze.

W takim razie możemy zrobić tylko jedno... - Głęboko spojrzał jej w oczy.

Co...? - Czowała się jak na ostrym wirażu. A za tym wirażem...

Och, niech już ją pocałuje! Będzie cudownie... Już nie chciała się wrywać, uciekać.

-Trzymać się od siebie z daleka.

Została sama.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W powrotnej drodze Parris powtarzała sobie, że popełniła wielki błąd, całując się z Bradem. Bardzo dobrze, że się na nią rozzłościł. Teraz będzie łatwiej go unikać. Naruszyła zasady obowiązujące w biznesie, zadając się z synem milionerki, dla której organizowała aukcję, ale przede wszystkim złamała swoją przysięgę. Tak wiele wycierpiała od mężczyzn, że powinna ich unikać.

Najpierw ojciec zostawił jej matkę, która tak bardzo dbała o siebie, że mogła uchodzić za jej siostrę, a Garrett w dniu, kiedy mieli brać ślub, powiedział, że zmienił zdanie, bo Parris nie nadaje się na żonę.

Dawno przestała myśleć o małżeństwie. Wszystko przez to głupie miejsce, w którym się znalazła. Te zakochane pary przytulające się do siebie, jakby w La Torchere szalała miłosna epidemia.

Na plaży na tle zachodzącego słońca właśnie odbywało się wesele. Kiedy Parris zbliżyła się, zobaczyła Merry, która tak promieniała, jakby panną młodą była jej córka. W uroczystości brała udział tylko garstka osób. Parris zawsze marzyła o takiej intymnej uroczystości.

Co za bzdury! Przecież nie wyjdzie za mąż. Poza tym jej znajomi nigdy by nie uwierzyli, że ona - królowa towarzystwa - mogłaby marzyć o skromnym przyjęciu na pla-

ży i kilkorgu dzieciach w piętrowym domku na Florydzie. Szczerze mówiąc, sama w to nie wierzyła, choć w chwilach słabości nachodziły ją takie pragnienia. Rany boskie! Chyba morskie powietrze uderzyło jej do głowy. Lekki wietrzyk niósł po plaży słowa przysięgi ślubnej:
- Czy ty, Ruth Fernandez, chcesz wziąć Diega Vargasa za męża?

Parris знаła pannę młodą, szczupłą ciemną blondynkę. Pracowała w La Torchere, była pokojową, kelnerką i ratowniczką, w ogóle miała się wszystkich możliwych zajęć. Musiało jej bardzo zależeć na pieniądzach. Wiecznie załatana i zmęczona, teraz, w krótkiej białej sukience na wąskich ramiączkach i z rozpuszczonymi długimi włosami, wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle.

Parris uświadomiła sobie, co spowodowało tę zmianę. Ruthie była szczęśliwa. Z taką miłością patrzyła narzeczonemu w oczy... Na pewno nie będą mówić do się siebie „złotko” czy „cukiereczku”. Ich uczucie było szczerze i prawdziwe. Goście weselni, którzy wyglądali na krewnych pana młodego, też byli rozradowani. Rodzice, dziadkowie i siostra z dziećmi byli ubrani w odświętne letnie stroje.

-Tak - powiedziała Ruthie.

Pastor skierował pytanie do pana młodego, który wpatrywał się z uwielbieniem w narzeczoną. Wysoki i ciemnooki Diego, ubrany w elegancką białą koszulę i ciemne spodnie, również powiedział „tak”.

Państwo młodzi pocałowali się. Parris z całego serca życzyła im szczęścia. Wiedziała, że są na świecie pary, którym dane jest spędzić z sobą całe życie. Nie tak jak jej rodzicom. Jej też coś takiego się nie przytrafi. Od strony basenu Oasis

dobiegały odgłosy przyjęcia, ale ona pospiesznym krokiem udała się do hotelu.

Spod drzwi pokoju siostry sączyło się delikatne światło. Zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i zapukała.

Parris! Myślałam, że się spakowałaś i poleciałaś do Europy. - Jackie zdążyła przebrać się w T-shirt i szorty, włosy związała z tyłu. Trzymała w ręku dokumenty dotyczące aukcji z poprzyklepianymi białymi karteczkami sterczącymi jak białe flagi symbolizujące klęskę.

Przepraszam.

Przepraszasz?

-Nie powinnam była tak do ciebie mówić.

Jackie zerknęła na korytarz.

Na pewno jesteś tym, za kogo się podajesz, a nie ufoludkiem, który przybrał ciało mojej siostry?

Hej, naprawdę cię przepraszam. Nie nabijaj się, bo rzeczywiście wsiądę w samolot.

Jackie uśmiechnęła się.

No, teraz cię poznaję. - Otworzyła szerzej drzwi. - Wejdź do środka.

Może zamówimy coś z restauracji? - zaproponowała Parris, gdy usiadły przy okrągłym stoliku w rogu pokoju.

Jackie westchnęła.

Nie mam czasu na biesiadowanie. Ta aukcja...

Możemy pracować razem. - Parris wyjęła połowę dokumentów z ręki siostry. - Nawet nie wiesz, jak dobry tandem stworzymy.

-Hm...

-Zaufaj mi, Jackie. Zresztą to jedyna szansa, by aukcja w ogóle odbyła się za trzy dni.

Brad, ku wielkiemu niezadowoleniu Gigi, całą noc kręcił się po domu. Rozeźlona suka kilka razy upomniała go szczekaniem, dając do zrozumienia, że jej przeszkadza spać. On jednak w ogóle nie mógł zmruzzyć oka. Bez przerwy przypominało mu się ufnie spojrzenie szmaragdowych oczu Parris, a potem pocałunek.

To szaleństwo! Nie powinien był jej całować. Błąd numer jeden. Nie, pierwszym błędem było zabranie jej do łodzi. Myślał, że zamknął już za sobą ponury rozdział życia, ale znajomość z Parris odnowiła stare rany.

Gigi zaszczekała pod drzwiami.

- Dobrze, już idziemy na spacer. - Zapiął smycz i wyprowadził psa na dwór.

Szli inną drogą niż zwykle, ale Gigi to nie przeszkadzało. No tak, poszłaby za nim nawet do Timbaktu, starego afrykańskiego miasta. Poprowadził ją w stronę hotelu, gdzie mieściły się apartamenty osób, które przyjechały na dłużej. Na piasku leżał samotny ręcznik należący z pewnością do jakiegoś miłośnika porannych kąpieli w oceanie.

Brad spoglądał w okna. Czy Parris jest za tymi powiewającymi firankami? Może ukaże się w negliżu i spełnią się jego nocne fantazje? Za firanką pierwszego okna ktoś się poruszył. Brad zatrzymał się, udając, że czeka, aż Gigi skończy węszyć w piasku. Uśmiechnął się, widząc, że plama różowego jedwabiu porusza się w kierunku balkonu, jednak uśmiech momentalnie znikł, gdy ukazała się starsza kobieta w szlafroku z wałkami na głowie.

Chodź, Gigi, muszę iść do pracy - powiedział, wpatrując się jednak wciąż w balkony.

Pozwól, że zgadnę. Kałamarnica na rękawie, miły piesek z boku. Na pewno jesteś Brad - usłyszał za sobą.

Odwrócił się. Wysoka ciemnowłosa kobieta ubrana w strój kąpielowy podnosiła ręcznik z piasku.

Skąd wiesz?

Jestem Jackie, siostra Parris. - Wyciągnęła do niego rękę. - Wczoraj wieczorem długo opowiadała mi o tobie, choć miałyśmy zająć się aukcją.

-Tak?

-Przez ciebie nie może skoncentrować się na pracy, co, nawiasem mówiąc, bardzo jest dla niej korzystne. - W jej ciemnych oczach migotały iskierki śmiechu.

Brad zachichotał.

Nie jestem tego taki pewny. Nie wiem nawet, czy mnie w ogóle lubi. - Choć kiedy się całowali, nie miał najmniejszych wątpliwości co do uczuć Parris. Ale potem przestał cokolwiek rozumieć...

Ona jest na pozór szorstka, lecz tak naprawdę delikatna jak mimoza. - Jackie zawiązała ręcznik w pasie i zaczęła przeczesywać palcami włosy.

Czy rozmawiamy o tej samej kobiecie?

Och, przestań! Przyznaj się, że myślisz podobnie.

To prawda, że często mnie zaskakuje.

No właśnie... Dzisiaj wieczorem jest kolacja dla ofiarodawców. Został mi wolny bilet. - Uniosła brwi. - Masz garnitur? Oczywiście. - Tylko nie wiadomo, czy będzie na niego pasować. Dotąd nie otworzył pudła od Brooks Brothers, które dwa lata temu przysłała mu matka.

W takim razie włóż go. Po południu przyślę ci bilet. Aha, jeszcze coś. Parris mówi, że nie wierzy w bajki, ale uwielbia happy endy. Postaraj się, żeby miała powód do radości. - Posłała mu uśmiech i oddaliła się w stronę hotelu.

Gigi szczerknęła z aprobatą.

- Wiesz, co myślę o garniturach. - Gdy suka znów zaszczełała, dodał: - I w ogóle o kobietach. - Gigi zaskomlała. - Masz rację. Na tym przyjęciu będzie dużo bogaczy, na przykład Kingmanowie, a może nawet członkowie zarządu fundacji. Powinieniem tam pójść ze względu na... swoją karierę. - Gigi sapnęła ciężko i położyła głowę na łapach. - Włożę garnitur, żeby wyglądać przyzwoicie, a nie po to, żeby się podobać Parris Hammond. - Suka warknęła. - Nawet nie spojrzę w jej stronę. - Gigi przewróciła się na bok, udając nieżywą.

Meny widziała, jak Parris wchodzi z jednej strony do Pokoju pod Figowcem, a Brad z drugiej. Po ich rozstaniu poprzedniego wieczoru była pewna, że klęska jest nieuchronna, przez co do końca życia będzie chodzić w gorszej i przeciwyłakowych rajstopach.

Jednak nie wszystko jeszcze stracone. Oto znaleźli się w tej samej sali. Świetna okazja, żeby użyć trochę czarów - jeśli matka chrzestna nie będzie jej pilnować. Merry zerknęła na frontowe drzwi. Lissa witała gości i pomagała Jackie i Parris. Była zbyt zajęta, żeby zwracać na nią uwagę.

Trochę nastrojowej muzyki i „przypadkowe” spotkanie Parris z Bradem może przynieść dobry skutek.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem i zakręciła palcem w kierunku orkiestry. Żywe tempo zmieniło się w wolną romantyczną melodię.

Lecz Parris nawet tego nie zauważyła. Szła w jej kierunku przez salę, oddalając się od Brada. Merry zmarszczyła nos i najpierw pstryknęła palcami w kierunku Parris, a potem Brada. Ale zrobiła to nie dość szybko.

Co to było? - spytała Parris, podchodząc do niej.

Znaczy co?

Co pani robiła palcami?

Ja coś robiłam? - Najlepiej udawać głupią. Niech ludzie myślą, że ma demencję. Jeszcze żadna ze swatanych osób nie przyłapała jej na czarach. Jak, u diabła, z tego wybrnąć?

Wskazała pani palcem na mnie, a potem na... - Parris odwróciła się, zerkając przez ramię - na pana Smitha.

To artretyzm. - Merry, uniosła drżącą dłoń. - Czasem mam takie skurcze. Odchyliła w górę jeden palec, a potem drugi. - O, znów mnie bierze.

Parris spojrzała na nią z niedowierzaniem, więc wyprostowała jeszcze jeden palec.

Powinna pani pójść do lekarza.

To tylko chwilowe - uśmiechnęła się Merry. - Powinno minąć z końcem lata. - Albo wcześniej, jeśli podejdziesz zaraz do tego przystojnego młodego człowieka, w którym powinnaś się zakochać, dodała w duchu.

Parris odeszła bez słowa.

No, no! Panna Hammond straciła mowę. Ciekawe, jakie jeszcze cuda zdarzą się niedługo na tej sali!

Parris nie chciała patrzeć na Brada. Miała za dużo pracy, żeby o nim myśleć.

Dlaczego w takim razie wciąż się odwracała, żeby zerknąć na jego wysoką postać w ciemnogramatowym garniturze? Miał wymięty krawat, jakby w ogóle nie potrafił go zawiązać, a kołnierzyk koszuli wyglądał jak psu z gardła wyjęty. Mimo to efekt był piorunujący. Nie wyobrażała sobie, że Brad Smith może prezentować się tak elegancko. I seksownie...

Ale czy nie wyglądał seksownie nawet w kamizelce i szortach, kiedy płynęli wielorybniczym statkiem? I w jasnoniebieskiej koszuli z krótkimi rękawami, która błyszczała wczoraj w świetle księżycy?

Uff! Przecież miała o nim nie myśleć.

Panna Hammond? - Filigranowa kobieta w kostiumie od Donny Karan, trzymająca na ręku miniaturowego dobermana z obrozą wysadzaną kryształami, zbliżyła się do Parris.

Tak, jestem Parris Hammond.

-Victoria Catherine Smith. - Wyciągnęła upierścienioną rękę. - Tak się cieszę, że panią wreszcie spotkałam. Znam pani siostrę. Jesteście takie młode i piękne.

A więc tak wygląda matka Brada. Nie mogła bardziej różnić się od swego syna biologa morskiego, który namiętnie badał kałamarnice.

Bardzo mi miło. - Ścisnęła dłoń pani Smith. - Nie mogę już się doczekać aukcji.

Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Chcę, by to akwarium było naprawdę... - Victoria rozejrzała się po sali - wspinała.

- Na pewno będzie. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Powinien trafić w nią grom z jasnego nieba za to kłamstwo.

Miło mi to słyszeć. - Victoria poklepała ją po ramieniu. - Pani siostra mówiła, że pani jest niezamężna.

To prawda. - O nie! Parris czuła, dokąd zmierza ta rozmowa.

Powinna pani poznać mojego syna Bradforda. To bardzo przystojny młody człowiek. Niezwykle inteligentny. -Pochyliła się, przyciskając pierska do piersi. - Może przywiązuje zbyt mało wagi do wyglądu, ale to dlatego, że nie spotkał odpowiedniej kobiety.

Zdaje się, że ktoś szykował dla Parris jeszcze jedną rolę do spełnienia.

- Już go poznałam. Jest... miły.

Tym razem płomienie piekielne liznęły już jej nogi za kłamstwo. Skoro był tylko „miły”, to dlaczego tak się z nim całowała?

Poznała go pani? - Victoria spojrzała na nią przenikliwie. - I spodobał się?

Tak, oczywiście.

Czy mogłaby pani pomóc mi w jeszcze jednej sprawie?

- Victoria zniżyła głos i protekcjonalnie objęła Parris. - Tak profesjonalnie zorganizowała pani aukcję.

No, nie powiedziałabym...

Bradowi potrzebna jest pomoc - mówiła dalej Victoria, jakby nie słysząc jej odpowiedzi. - Jest trochę nieprzytomny. Wie pani, jak to mężczyzna.

Zauważyłam...

Mój syn twardo zamierza kontynuować swoją karierę, nawet jeśli miałyby to go zaprowadzić na dno oceanu - stwierdziła z niezadowolaniem. - Z pewnością jednak pod odpowiednim wpływem zrozumiałaby, że jego talent rozkwitłby pełnym blaskiem, gdyby wykorzystał go w inny sposób.

- Pod wpływem kobiety? - Parris знаła odpowiedź na to pytanie.

Victoria skinęła głową, rozchylając w uśmiechu wargi w kierunku fuksji.

Pięknej kobiety, która oczywiście będzie miała na względzie jego dobro.

Pani Smith, nie mam takich możliwości, by do czegokolwiek nakłaniać Brada. Prawie się nie znamy. - Odru-

chowo zerknęła w górę, dziwiąc się, że jeszcze nie padła od uderzenia pioruna.

- Przez cały czas nie spuszcza z pani wzroku. Myślę, że chciałby panią lepiej poznać - odparła z uśmiechem Victoria.

- Jako inteligentna kobieta na pewno rozumie pani, że znacznie lepiej byłoby dla niego, gdyby zajął się biznesem, zamiast pływać na jakichś głupich łodziach i oglądać martwe ryby.

Parris pomyślała o dniu, który spędziła z Bradem na statku i magicznym wieczorze na plaży, gdy przypatrywali się świecącym glonom. Z jaką fascynacją patrzył na wszystkie morskie stworzenia! Zjeżyła się, ale nie mogła tego okazać. Victoria Catherine Smith była jej klientką - jedyną klientką, jaką w tej chwili miała.

Praca była dla niej najważniejsza. Nie chciała zmarnować szansy, którą dał jej ojciec, przekazując firmę. Mimo to za nic w świecie nie zdradziłaby Brada. Nieważne, że przysięgła sobie zerwać z nim wszelkie kontakty. To, co ich łączyło, było trudne do nazwania, ale na pewno mieściła się w tym przyjaźń, czyli rzecz święta. Musiała więc wybrać możliwie dyplomatyczną odpowiedź.

- Mało znam pani syna, ale myślę, że nie jest stworzony na biznesmena. - I tyle jeśli chodzi o dyplomację, jako że jej słowa zabrzmiały dość kategorycznie.

Victoria znów poklepała ją po ramieniu.

- Bo nie spotkał kobiety, która by go do tego zachęciła, pokazała właściwy kurs. Dotąd tylko dryfował - dodała zadowolona ze swego żartu.

Parris zerknęła w jego kierunku. Wyraźnie męczył się w garniturze i krawacie. Nie wyobrażała sobie, żeby mógł codziennie siedzieć w takim stroju przy biurku. Ocean był jego domem. Czuł się wtedy jak ryba w wodzie.

Po co w takim razie przebrał się w elegancki strój? Czy miał zamiar ubiegać się o pracę w firmie? Nie mogła sobie tego wyobrazić.

Nie nadaję się do tego. - Parris odwróciła się w stronę baru i wzięła koktajl z owocami. Połknęłyby nawet arsenik, żeby tylko wydostać się z tej niezręcznej sytuacji. Spojrzała na Jackie, szukając u niej ratunku, ale siostra uniosła tylko kciuk i dalej rozmawiała z Phipps-Stoverami.

Wprost przeciwnie, nadaje się pani doskonale. - Victoria uśmiechnęła się, a potem pogłaskała śpiącego psa. - Mam wielu przyjaciół, którzy organizują tego rodzaju uroczystości: aukcje, otwarcia galerii, kolacje na cele dobroczynne. Z przyjemnością polecę im panią i pani siostrę.

Czyli oferta nie do odrzucenia. Brad ma spełnić życzenia matki, a wtedy ona i Jackie będą miały zapewnione zajęcie na dwadzieścia lat.

- Proszę o tym pomyśleć - dodała Victoria. - Muszę teraz przywitać się z Mortonem Kingmanem. - Odeszła, zostawiając łuk i strzałę w rękach panny Hammond.

Najgorsze, że ta strzała miała ugodzić mężczyznę, z którym Parris przysięgła sobie więcej nie rozmawiać.

Brad widział z daleka, że sytuacja robi się niebezpieczna.

Matka rozmawia z Parris Hammond. Z pewnością przekonuje ją, że wymarzone miejsce dla niego jest stanowisko w firmie.

Matka pomachała do niego, trzymając za łapkę Kay-Kaya, potem ciągnęła dalej rozmowę z Mortonem Kingmanem, wykonując gesty w kierunku syna.

O Boże! Teraz szuka pomocy na flankach.

Nie powinien był wkładać garnituru. Matka nie potrzeb-

nie sobie coś wyobraziła, a on męczył się niemiłosiernie. Nigdy nie nauczył się wiązać krawata, czego wyrazisty dowód widniał pod jego szyją. Prasując kołnierzyk, oparzył się w palec i użył za dużo krochmalu, więc z jednej strony kołnierzyk stał sztywno, a z drugiej opadł sromotnie na klapy marynarki. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Potrzebna mu była pomoc. Pogotowie ratunkowe dla osób o kompromitującym wizerunku. Gdy spojrział na Parris, wreszcie przestał się okłamywać, po co włożył garnitur. Chciał zrobić wrażenie na bogini w niebieskozielonej sukience, która udawała, że wcale go nie widzi. Przebrałby się nawet za goryla i wziąłby banana, gdyby to mogło zwrócić na niego jej uwagę.

Wszystko dlatego, że na jawie czy we śnie, wciąż pamiętał ten pocałunek.

Dopił resztkę szampana, odstawił kieliszek i ruszył przed siebie. Im był bliżej Parris, tym mocniej biło mu serce.

- Wyglądasz tak pięknie jak morska syrena – powiedział cicho. Spojrzała na niego zaskoczona, a potem przesłała mu znajomy uśmiech, którego na pewno powinien unikać.

Czy chcesz mnie złapać, rybaku, dla swych niecznych celów?

„Dla niecznych celów”, jak słodko to brzmi...

Pomarzyć zawsze można, rybaku.

Zawsze... Ale wiesz, piękna rybko, jeszcze nie odwzajemniłaś mi się za przysługę. Mam jednak przecucie, że gdy pociągnę tę kwestię, zaraz zaczniesz się ze mną kłócić.

Bardzo słusznie. - Wzięła listę gości i zaczęła sprawdzać, kto jeszcze nie odebrał plakietki.

A jeśli cię złapię i nie zechcę wypuścić?

Czy to ma być happy end jak z bajki?

Przecież udało się to Ariel i księciu Erikowi.

To była wersja Disneya. Prawdziwa baśń o syrenie nie zakończyła się pocałunkiem o zachodzie słońca. - Sprawdziła listę i podeszła do stołu, na którym leżały przedmioty przeznaczone na aukcję.

Wiesz, na czym polega twój problem? - spytał Brad, stając obok niej.

Mężczyzna w garniturze przesłania mi widok.

A oprócz tego?

Oprócz tego nie mam żadnych problemów. - Przesunęła się w prawo.

Brad także się przesunął.

- Żyjesz w czarno-białym świecie bez szarości i bez tęczy.

Parsknęła gniewnie.

A co to ma być, „Czarnoksiężnik z Krainy Oz”? Coś ci powiem. Tęcza nie trwa wiecznie.

Skąd wiesz?

To prawda, świeci pięknym blaskiem, lecz szybko znika... i już nie masz na co liczyć.

Nie możesz liczyć na mężczyzn, prawda?

Kiedy to powiedziałam?

Nie musiałaś, masz to wypisane na twarzy, kiedy na mnie patrzysz. Słyszałem to w twoim głosie, gdy uciekłaś po naszym pocałunku na plaży.

Nie uciekłam od ciebie. To ty odszedłeś. - Wymierzyła w niego długopis, jakby Brad był kolejnym numerem do sprawdzenia na liście. - Uważam, że to ty się boisz.

Ja? Nie boję się niczego oprócz wygłodniałych rekinów.

I kobiet, które mogłyby za dużo od ciebie wymagać?

-Nie rozumiem... Wzruszyła ramionami.

- Jesteś bardzo wykształcony, więc sam do tego dojdiesz.

A jeśli nie, to może mądre kałamarnice ci pomogą.

Odwrociła się na pięcie i podeszła do grupki gości.

Brad chciał coś krzyknąć. Nigdy nie spotkał kobiety, która by tak działała mu na nerwy, choć niewątpliwie w jednym miała rację: czuł się lepiej wśród kałamarnic niż wśród kobiet.

Przez resztę wieczoru wciąż miała go przed oczami. Widziała, jak rozmawiał z gośćmi, "witał się serdecznie z

Phipps-Stoverami, rozmawiał uprzejmie z Kingmanami i innymi darczyńcami. Wszędzie było go pełno. To nieuniknione, skoro byli w jednej sali.

Wcale nie miała ochoty na niego patrzeć. Wolałaby wyjść stąd jak najszybciej i zabrać się do pracy. To dla niej najważniejsze, a nie fakt, że za każdym razem, gdy się zbliżał, kręciło jej się w głowie.

Dzień dobry - powiedziała, podchodząc do Mortona Kingmana. Pulchny mężczyzna miał na sobie jaskrawofioletowy garnitur, różową koszulę i kwiecisty krawat. Znacznie młodsza od niego jasnowłosa żona była ubrana w suknię ze złotej lamy ze śmiałym dekoltem.

Parris! Takie piękne imię! I miasto - zaśmiał się jowialnie Morton. - Byłaś tam kiedyś?

Niestety nie.

Och, moja droga, to wielki błąd! Po prostu musisz tam pojechać. - Wydał usta, które zapadły się w obwisłe policzki. - Niestety nie ma tam ciekawych morskich zwierząt. Wielka szkoda. Francji przydałoby się trochę wielorybów

i rekinów. Może uda nam się zapoczątkować rewolucję morską, kiedy pojedziemy tam z Candy na wycieczkę. Powiedz, jakiego masz faworyta?

Faworyta?

No, oczywiście ulubione zwierzę morskie. Osobiście mam słabość do manatów. - Morton pochylił się ku niej.

- No wiesz, jesteś tym, co kochasz. - Roześmiał się, łapiąc się za brzuch.

Manaty są... miłe. - Co jeszcze mogła powiedzieć? Urocze? Słodkie?

A ty co kochasz? - Uniósł dłoń. - Chwileczkę! Pozwól, że zgadnę. - Obrzucił ją wzrokiem. - Wysoka posągowa blondynka. Pewna siebie, ale przy tym delikatna. Musisz lubić... Panie Kingman, naprawdę nie sędzę...

Nie, nie mów mi. Jestem świetny w rozwiązywaniu zagadek. Możesz spytać Candy. Ona lubi cenne okazy, prawda, kochanie?

Żona chwyciła go za ramię, wpatrując się w niego z uwielbieniem.

- Och, jak ty mnie dobrze znasz!

Poklepał ją po dłoni przystrojonej czterokaratowym diamentem. Parris nie była pewna, czy Candy faktycznie lubi cenne okazy.

- Myślę, że nasza droga panna Hammond uwielbia konie morskie. Niezależna kobieta, która potrzebuje silnego i odpowiedzialnego mężczyzny.

Parris wybuchnęła niemal histerycznym śmiechem

Nie sędzę.

Och, możesz tak nie sądzić, kochanie, ale twoje morskie ja nigdy nie kłamie. Nasze podwodne symbole wyrażają naszą osobowość.

Mortie wie, co mówi - powiedziała Candy. - To prawdziwy geniusz.

Musisz znaleźć drugiego konia morskiego i mieć kucyki. - Morton roześmiał się zadowolony ze swego żartu i poklepał ją po ręku. - Lubię cię, Parris, i to nie dlatego, że nosisz imię cudownego miasta.

Dziękuję, panie Kingman.

Mów do mnie Mortie, proszę. Jeśli mam wystawić hojny czek w darze dla akwarium, to przynajmniej zwracaj się do mnie po imieniu.

Zgoda, Mortie. - A więc trochę dzięki manatom; a trochę dzięki koniom morskim udało jej się jednak załatwić sprawę z Kingmanami. Nieważne, jak do tego doszło, liczyło się tylko to, że coś wreszcie zaczynało się układać w sprawie aukcji. Cudownie! Po raz pierwszy w życiu czuła, że ma na koncie sukces. Na pewno uda jej się zrobić karierę.

- Ten Brad Smith to dobry chłopak - ciągnął dalej Morton. - Tak sympatycznie wyrażał się o tobie, że postanowiłem poprzeć tę akcję, choć jego matka jest nie do wytrzymania. - Skrzywił się z niezadowolaniem. - Ona kocha psy.

Wiesz, co się mówi o miłośnikach psów?

-Nie...

- Że kochają futra, a nie pletwy. - Potrząsnął głową. - Nieważne. Masz poparcie Brada Smitha, a to wiele dla mnie znaczy. Rano możesz się spodziewać czeku. Poza tym dorzucę na aukcję jeden z moich obrazów manatów Marka Monettee.

Parris starała się trzymać nerwy na wodzy. Podziękowała serdecznie Kingmanom za szczodrość, po czym zaprowadziła ich do stołu, przy którym siedziała Victoria, żeby

przekazać jej dobrą wiadomość. Potem natychmiast udała się na poszukiwanie Brada. Był przy barze.

Dlaczego to zrobiłeś? - spytała. Wziął od barmana rum z colą. Co zrobiłem?

Wstawiałeś się za mną u Kingmanów.

Pomyślałem, że to się przyda. W końcu to przeze mnie nie byłeś u niego na lunchu i straciłaś okazję, żeby z nimi porozmawiać.

Myślisz, że nie potrafię przygotować sama tej aukcji? Uważasz, że powinieneś mnie ratować?

Nie, ale...

Posłuchaj, co ci powiem. Jeśli będę potrzebować rycerza na białym koniu, to na ciebie gwizdnę, a na razie nie wtrącaj się w moje sprawy. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Hej, Parris!

Zatrzymała się i odwróciła. - Co?

- Kiedy zechcesz gwizdnąć, włóż dwa palce do ust. Zjawię się wtedy na twój rozkaz, księżniczko. - Uśmiechnął się przekornie.

Ogarnęła ją jeszcze większa złość. Gdyby miała czarodziejską różdżkę, natychmiast zamieniłaby Brada Smitha w żabę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Domyślałam się, że wczoraj wieczorem nie poszło dobrze - powiedział Jerry następnego ranka.

Dlaczego tak mówisz?

Bo palisz krawat na palniku laboratoryjnym.

Nienawidzę krawatów. I nie są mi potrzebne.

Bo nie umiesz ich wiązać.

-To też.- Brad wrzucił zwęglone szczątki materiału do kosza.

Myślał, że teraz czuje się lepiej, ale niestety nie.

Więc jak było?

Fatalnie. Jedyną osobą, która poświęciła mi trochę uwagi, był Morton Kingman, ale tylko dlatego, że chciał dowiedzieć się czegoś o Parris. Co prawda napomknął, że porozmawia o mnie z komisją fundacji, ale zaraz potem spytał, czy Parris przyjdzie ze mną na rozdanie nagród. Równie dobrze mogłem zostać w domu.

Cóż, bywasz trudny do zniesienia. Straszny palant z ciebie. -

Jerry uchylił się przed kulą z papieru, którą rzucił Brad.

Chcesz powiedzieć, że wszystkim na mój widok robi się niedobrze?

Mówisz tak uczonym językiem, który od razu zdradza, że jesteś nawiedzonym profesorkiem. Nie widzisz, jak wte-

dy mętnieją ludziom oczy? Wyglądają jak zgnębione pingwiny, które utknęły w górze lodowej.

Dzięki, przyjacielu.

Nie ma za co.

Jednak wczorajszy wieczór udowodnił, że Jerry ma rację. Ilekroć Brad próbował wspomnieć o swoich poszukiwaniach kałamarnicy olbrzymiej, jego rozmówcy znikali, ledwie padło słowo Architeuthis.

Bez wątpienia zmiana stroju to było za mało. Jeśli chce przedstawić dynamiczną prezentację, musi nie tylko zmienić wygląd. Chciał zdobyć uznanie za swoją pracę, a nie za nazwisko czy koneksje. Ale jeśli nie wymyśli, jak zainteresować komisję swoimi badaniami, to nie zdobędzie potrzebnych funduszy.

Może matka ma rację - powiedział, zabierając się do badań nad ostatnimi próbkami - i powinienem wrócić do firmy.

Zwariowałaś? Chcesz zostawić glony i kałamarnice? Mógłbyś mieć to - Jerry potrząsnął słoikiem ze szczątkami kałamarnicy w formalinie - a ty myślisz o samochodzie firmowym i świadczeniach medycznych gwarantowanych przez firmę?

Taka praca ma swoje plusy - odparł Brad, wkładając slajd pod mikroskop.

Jakie? Ekstra sekretarki umilające poranne picie kawy? - Jerry podrapał się w brodę. - Hej, dlaczego nie zatrudnimy sobie takiej asystentki?

Bo nie mamy nawet dla siebie na pensje. - Brad obejrzał slajd i zanotował coś w notesie.

Chętnie zgodzę się na obniżkę, jeśli wzięlibyśmy sobie śliczną...

O Boże! - Brad oderwał się od mikroskopu, spojrzął na Jerry'ego, a potem znów przycisnął oko do okularu. - To niemożliwe.

Co tam masz? Jeśli to syrena, to pamiętaj, że ją sobie zaklepuję, bo dłużej niż ty nie mam narzeczonej.

Nie, jeszcze lepiej. - Brad zwiększył moc soczewek. Wpatrywał się w cud, na który czekał całe życie.

Miała dwanaście godzin na ostatnie przygotowania do aukcji. Rano Jackie obudziła się z migreną i błagała, żeby pozwolić jej przez kilka godzin poleżeć w spokoju w zaciemnionym pokoju. Parris zapewniła ją, że poradzi sobie ze wszystkim.

Teraz modliła się o to, żeby okazało się to prawdą.

Panna Hammond? - przywitała ją recepcjonistka Lilith Peterson. - Mam dla pani wiadomość od szefa kuchni. Z przykrością zawiadamia, że menu musi ulec zmianie.

Co? Dlaczego?

Dostawa żeberek nie dotarła na prom. Zapomniano o nich w porcie i przeleżały w ciepłe przez całą noc.

Parris ścisnęła w rękę notes.

To znaczy, że mamy bakterie coli na talerzu?

Właśnie.

- Co może być zamiast żeberek?

Lilith uśmiechnęła się szeroko.

Kurczak.

Bardzo oryginalne... Możemy zaserwować ryby.

Na aukcji na rzecz ochrony morskich stworzeń?

- No tak, martwe ryby na talerzu i zbieranie datków na ochronę życia w oceanie. - Parris na moment przyknęła oczy. - Dobrze... Pójdę do szefa kuchni i coś wymyślmy.

Kiedy Lilith poszła, zamaszystym krokiem wynurzyła się z windy Joyce Phipps-Stover, za którą ledwie mógł nadążyć portier toczący dwie walizki na kółkach.

Wyjeżdżam, panno Hammond.

Ale dziś wieczorem jest aukcja - powiedziała Parris, prawie biegnąc za nią. - To będzie wspaniała impreza - dodała, uśmiechając się zachęcająco.

Nie interesuje mnie to. I nie damy z mężem tego głupiego obrazu.

O nie! Jeszcze jedna klęska. Zostało tylko kilka godzin do aukcji. Nie tylko Jackie będzie dziś zażywać tabletki od bólu głowy.

Chcą państwo wycofać swój dar w dniu, w którym ma się odbyć aukcja? - spytała zrozpaczona. - To niemożliwe.

Oczywiście, że tak. Aukcja jeszcze się nie rozpoczęła. Wyjeżdżam, bo mój mąż to idiota. - Joyce pstryknęła palcami na portiera. - Proszę sprowadzić samochód i odwieźć mnie jak najszybciej na lotnisko.

A... ale... - wyjąkała Parris.

Nie ma żadnego „ale” i nie ma obrazu. Przykro mi, panno Hammond, ale przez ten obraz rozpadło się moje małżeństwo. Nie damy go na aukcję, żeby nie przyniósł pecha komuś jeszcze. - Skinęła głową i odeszła.

Wyborowe żeberka stały się trucizną. Obraz Phipps-Stoverów zniknął. Czy jeszcze może się zdarzyć jakieś nieszczęście?

Kiedy Parris zobaczyła, że człapie ku niej pospiesznie Merry Montrose, najchętniej po prostu by uciekła. Kierowniczka miała popielatą twarz, rękę przyciskała do piersi. Może szybki marsz był dla niej zbyt dużym wysiłkiem?

- Pani Phipps-Stover wyjeżdża? Bez męża?

Tak, ale za to z obrazem.

Dlaczego pani jej nie zatrzymała? - zapiszczała Merry.

- Ona nie może wyjechać bez męża!

Co się stało tej kobiecie? Dlaczego tak się przejmowała tym małżeństwem? Jakże irytujące są te starsze panie wtykające nos w cudze sprawy!

- Pani Phipps-Stover postanowiła wyjechać - odparła Parris. - Jestem pewna, że wkrótce pogodzi się z mężem. Jeśli kobieta zwraca się do męża „cukiereczku”, to na pewno pozostanie z nim na zawsze.

Merry wzięła głęboki oddech, a potem bardzo powoli wypuściła powietrze. Jej dłoń była wciąż przyciśnięta do klatki piersiowej.

O Boże! Czy właśnie zaczyna się atak serca? Parris wiedziała, jak należy udzielić pierwszej pomocy, ale co zrobić, gdy ktoś grozi zawał? Poza tym skąd wziąć czas na cucenie starszych pań?

- Tak, chyba ma pani rację - powiedziała Merry po paru głębokich oddechach. - Oni się pogodzą.

Ta kobieta nałogowo bawi się w swatkę, pomyślała Parris.

Niech sobie robi co chce, byle tylko nie wtrącała się w moje sprawy.

Trzeba przyznać, że Merry była znakomitą szefową ośrodka. Przypominała Parris pewną dziewczynę, którą poznała na studiach. Nie była wcale złą, tylko trochę zanadto wścibska. I te dziwne ruchy palców...

- Czy wszystko jest przygotowane do dzisiejszej aukcji?

- spytała Merry.

Oczywiście. - Parris przyklepiła do twarzy sztuczny uśmiech.

Nie można martwić tej chorej na serce kobiety.

To dobrze. - Merry uśmiechnęła się przepraszająco. -

W takim razie nie zmartwi pani, że florysta musiał wyjechać i nie skończy dekoracji. Och nie! Jeszcze to!

Dlaczego?

Jego matka została zabrana do szpitala. Ostry atak wyrostka. Bardzo się tym przejął. Jego asystent jest na urlopie, a drugi pomocnik pojechał do Bostonu na warsztaty florystyczne. - Merry poklepała Parris po rękę. - Ale na pewno wszystko uda się wspaniale.

Doskonale to pani ujęła - odparła z sarkazmem Parris. - Biorąc wszystko pod uwagę... - Położyła notes na stoliku i otarła dłonią twarz. - Wyjdę na chwilę na powietrze.

Merry otworzyła usta i znów przycisnęła dłoń do piersi. Parris nie mogła tego dłużej znieść. Choć na chwilę musi uciec od tych wszystkich problemów.

Na plaży szybko zrzuciła buty i zanurzyła stopy w miękkim, suchym piasku. Nie zwracała uwagi na spojrzenia ludzi, którzy z pewnością zastanawiali się, co kobieta w żółtozielonym kostiumie od Kennetha Cole'a robi boso na plaży. Stała nad brzegiem oceanu, rzuciła żółtozielone buty na piasek i weszła do wody, która sięgnęła jej do kostek.

Odkąd tu przyjechała, żeby pracować, znalazła się w zupełnie innym świecie. Kilka miesięcy temu jej największym zmartwieniem było to, o której otwierają centrum handlowe, a nie, czy uda się zebrać dość pieniędzy na wystawę o pingwinach. W nocy bawiła się na przyjęciach, a rano leczyła ból głowy. Teraz te wszystkie lata wydawały się puste i jałowe. Miała wrażenie, że żyła jak w kokonie, lecz to się skończyło.

Tak bardzo zależało jej, żeby aukcja się udała. Chciała udowodnić, że potrafi odnieść sukces, ale na razie poka-

zała tylko, że tak niestety nie jest. Całe przedsięwzięcie legło w gruzach.

Oparła ręce na biodrach, zapatrzyła się przed siebie. Bezkresny błękit wody uspokajał skołatane nerwy. Pochyliła się, kręcąc w kółko rękami w słonej wodzie. Wszystko zawirowało pod jej dłońmi. Ławica rybek przemknęła wzdłuż brzegu, puste muszle kłębiły się w falach, gładkie kamienie wystawały z czystośćkiego piasku. Promień słońca prześlizgnął się po piaszczystym dnie. Mały jasnopomarańczowy krab uciekał spłoszony jej obecnością. Para mew zerwała się do lotu.

Tutaj wszystko wydawało się doskonale i prawdziwe. Kłopoty związane z aukcją zniknęły w oceanie wraz z kawałkiem dryfującego wypalonego słońcem drewna.

- To zdumiewające, prawda?

Głos Brada. To było tak naturalne, jakby on też stanowił część tego pejzażu. Parris nie odwróciła się. Wciąż stała pochyłona nad taflą wody.

Ktoś mówił, że nie patrzę z bliska na ocean.

Ktoś mądry i inteligentny. Poza tym bardzo przystojny i czarujący.

Kto często igra z ogniem. - Odwróciła się do niego. - Co sprowadziło cię w te strony?

Znalazłem coś wielkiego - odparł z uśmiechem.

Co to znaczy?

Muszę zrobić jeszcze parę testów. Ale mam nadzieję... - W zamyśleniu przegarnął ręką włosy. - Pamiętasz ten dzień, gdy wyciągnąłem cię z oceanu?

Oczywiście.

Wcześniej nurkowałem i pobrałem kilka próbek wody. Znalazłem kilka *Illex illecebrosus* i trafiłem na baraku-

dę, która kończyła lunch. Myślałem, że to szczątki Illex, bo widziałem macki, ale to nie było to. Wczoraj wieczorem oglądałem ostatnie próbki i... - Urwał, wziął głęboki oddech i chwycił ją za rękę. - I znalazłem tkanki kałamarnicy olbrzymiej.

Naprawdę? - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Jesteś pewien?

Na dziewięćdziesiąt procent.

Nagle Parris uświadomiła sobie, że musi wyglądać bardzo dziwnie. W eleganckim kostiumie stała w wodzie, rozmawiając z brodatym mężczyzną w szortach.

Tak się cieszę, Brad - powiedziała, wychodząc z wody i biorąc do ręki sandały.

Czy wiesz, co to oznacza?

Dostaniesz wreszcie ten wymarzony grant.

Nie wiadomo. Słyszałem, że jakiś naukowiec dokonał ważnych odkryć, badając migrujące tuńczyki. Konkurencja jest bardzo silna.

Poradzisz sobie. - Uśmiechnęła się.

Brad westchnął, idąc za nią w kierunku hotelu.

Nie jestem pewny. Dlatego teraz chciałbym prosić cię o pomoc.

Teraz przede wszystkim muszę dbać o własną skórę. - Potrząsnęła głową, przyspieszając kroku. - Nie. Przykromi, Brad, ale muszę ci odmówić.

Nie zrozumiałaś mnie. Chcę, żebyś mi pomogła, kiedy będzie już po aukcji.

Wtedy wracam do domu. - To dziwne, ale miała wrażenie, że jej dom jest tutaj, a nie na Manhattanie.

Chwycił ją za ramię i delikatnie obrócił do siebie.

- Przyznaj się, że mnie unikasz.

Wcale nie. Po prostu mam pracę.

Aukcja niedługo się skończy. Co potem? Jakie masz dalsze plany?

Uporządkować swoje życie. Odkryć, kim naprawdę jest, nie tylko córką Jeffreya Hammonda i siostrą Jackie Hammond. Dowiedzieć się, czy potrafi coś robić, czy tylko chodzić na przyjęcia i kupować eleganckie kostiumy.

Nie mogę ci powiedzieć, bo obowiązuje mnie tajemnica handlowa. Mój następny klient zastrzegł sobie całkowitą dyskrecję.

Bzdury. Boisz się ze mną spotykać, więc wymyślasz kolejne wykręty. Jesteś mi winna wdzięczność, ale nie chcesz się zrewanżować. - Puścił jej rękę. - No, uciekaj, w tym jesteś dobra. Jak śmiesz?!

Jak śmiesz? A ty? Nie chcesz przyznać, że coś nas łączy.

Uparłaś się, żeby mnie dręczyć. Chyba jestem masochistą, bo sam się o to proszę. Myślałem, że jesteś inna, ale się pomyliłem.

Jego słowa spadły na nią jak cios. Czekala na nie, bo wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykała, mówili dokładnie to samo. Nie była kobietą, jakiej pragnął. Była inna, niż myślał.

Przygryzła wargi.

- Tylko ci się wydawało, że mnie znasz.

Skoro ona sama nie wiedziała, kim jest, to jak mógł to wiedzieć Brad Smith?

Nie. - Ujął ją pod brodę. - Dlaczego boisz się być sobą?

Jestem sobą - odparła bez przekonania.

Tak? Czyli kim? Tą elegancką kobietą, która wydaje

polecenia i dąży do perfekcji, czy może dziewczyną, która przed chwilą wpatrywała się z podziwem w kraba? Uniosła brodę.

Chciałam ochłodzić się trochę w wodzie. To wszystko.

Och, bądź sobą, Parris. Kiedy się na to zdecydujesz, wiesz, gdzie mnie szukać.

Patrzyła, jak odchodzi. Niech idzie. Na nią czeka milion spraw. Musi zaplanować menu na kolację, znaleźć coś zamiast obrazu na aukcję i dopilnować dekoracji sali.

Do diabła z Bradem Smithem! Ale nie pozwoli, żeby ostatnie słowo znów należało do niego. Ruszyła w pogoń. Rozpięty zakiet powiewał po bokach, a włosy upięte w misterny koczek rozsypały się na plecy.

- Nie tylko ty masz problemy, mój drogi - powiedziała, dopędzając go.

Odwrócił się ze zdziwieniem.

Co to ma znaczyć?

Pochodzisz z bogatej rodziny, którą porzuciłeś, bo wolisz żyć jak cygan.

-Nieprawda.

Wolisz żebrać o pieniądze w fundacji niż dogadać się z matką. To nie takie proste. Miałbym wtedy zobowiązania.

A ty nie lubisz zobowiązań, prawda? Wolisz spędzać cały dzień na łódce i sam decydować, co kiedy będziesz robić. Lubisz takie życie. - Złapała go za koszulkę. - A gdyby atrakcyjna kobieta powiedziała ci, że chce się z tobą związać, to pewnie uciekałbyś gdzie pieprz rośnie.

To propozycja?

- Zgadzasz się?

Jego twarz stężała.

-Nie.

- No widzisz? To znaczy, że mam rację. Wcale nie jesteś taki wspaniały, jak myślisz. Dlatego nie ucz mnie, jak mam żyć. Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma go za T-shirt. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Parris chciała coś powiedzieć, ale w głowie miała pustkę.

Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział głębokim głosem Brad.

Ty mnie też - odparła niemal szeptem.

Co robisz na plaży w tym kostiumie? - Dotknął delikatnego materiału. - Rozpiął ci się zakiet.

- Bo chciałam cię dogonić.

-I porozmawiać?

-Tak.

- Coś jeszcze?

Nie miała odwagi odpowiedzieć. Chciała zaprzeczyć. Ten mężczyzna złościł ją. Podawał recepty na jej życie, a sam się do nich nie stosował.

Ale kiedy patrzył w jej oczy i jego dłoń przesuwała się po żółtozielonym kostiumie, jakby pieścił jej ciało, nie mogła powiedzieć ani słowa.

Wokół nie było nikogo.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powtórzył szeptem, potem dotknął ustami jej warg.

O Boże! Jak cudownie! Tego właśnie pragnęła. I dlatego go gonila. Tego domagało się jej ciało i przed tym kazał się bronić rozum.

Miłość może sprawić ból. Najpierw puste obietnice, a potem złamane serce.

Gdyby mogła uwierzyć, że Brad jest inny. Że nie rozmy-

śli się i nie ucieknie, kiedy będzie już za późno. Znalazła się w pułapce.

Kiedy wsunął ręce pod jej miękki żakiet, poczuła na plecach miły dreszcz. Przytuliła się do Brada, rozchylając zachęcająco usta. Przesunęła dłonie po jego klatce piersiowej, dotykając twardych mięśni.

Westchnęła, gdy dotknął jej piersi, przytuliła się do niego. Jak dobrze byłoby, gdyby jej wszystkie obawy i wątpliwości mogły roztopić się w oceanie!

Ale na jak wielkie ryzyko mogłoby ją to narazić!

- Nie mogę - powiedziała, odsuwając się. - Nie mogę.

Uciekła, czując w sercu wielki żal.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Merry schyliła się, stojąc pod palmą, i przycisnęła dłoń do serca. Po raz drugi jej serce wyczyniało dziś gwałtowne skoki. Najpierw Phipps-Stoverowie, a teraz Brad i Parris. Powinna się uspokoić i nie wpadać w panikę.

Nie może dostać ataku serca na trawniku, bo wyda się, że szpiegowwała. Ta para zachowywała się jak piłeczki ping-pongowe, przeskakując od miłości do nienawiści.

Dlaczego odpychali od siebie uczucie? Skoro

Phipps-Stoverowie tak walczą z sobą, a Parris i Brad nie chcą się zakochać, jej własna młodość oddalała się coraz bardziej.

- Martwisz się czymś, drogie dziecko?

Merry odwróciła się do matki chrzestnej, która bezszelestnie stanęła za nią.

Jak ty to robisz? Wcale cię nie słyszałam?

Jestem zręczna - uśmiechnęła się Lissa.

Ja też kiedyś byłam, zanim rzuciłaś na mnie klątwę. Nie sądzisz, że dostałam już nauczkę? - Merry wyciągnęła ręce w górę. - Wiem, że miłość jest piękna. Można żyć razem długo i szczęśliwie. Szanować się nawzajem itd., itp.

Lissa zmarszczyła brwi.

- Meredith!

Merry westchnęła ciężko.

Przepraszam, nie jestem w nastroju. Parris i Brad nie chcą być z sobą, choć naprawdę robię, co się da.

To nie rób nic.

To znaczy, że mam zdać się na naturę?

To się sprawdza w milionach przypadków.

Nie ma mowy. Mam dość, nie chcę już dłużej być staruchą.

Jeśli będę musiała wsadzić tych dwoje do magicznej bańki mydlanej i posłać ich...

Meredith! Wiesz, że nie możesz tego zrobić.

- Zrobię wszystko.

Lissa ścisnęła jej ramię.

- To wejdź do środka i pomóż siostrze Hammond urządzić wspaniałą aukcję. Kiedy Parris się odpręży, może dopuścić do siebie pragnienie miłości.

Merry skrzywiła się.

Wiesz, że jej nie lubiłam, kiedy byłyśmy na studiach. Dlaczego mam jej pomagać?

Przyjrzyj jej się. Może się zmieniła? - Lissa popchnęła Merry w kierunku hotelu. - To wyjdzie wam obu na dobre.

Chcę tylko zmusić Parris i Brada do happy endu i w tym celu zrobię wszystko. - Merry oddaliła się, powłócząc starymi nogami.

Aukcja już się rozpoczęła, gdy pojawił się Brad. Tym razem miał na sobie drugi garnitur przysłany przez matkę, bo spalił krawat pasujący do pierwszego. Zawiązywanie następnego krawata też się nie powiodło, bo poddał się, widząc, że ma już dwadzieścia minut spóźnienia.

Zgodnie z obietnicą matka przysłała mu zaproszenie. Miał zająć miejsce obok niej przy głównym stole. Nie chciał iść na aukcję, ale zobaczył dołączony do zaproszenia

folder z programem, w który włożona była kartka z wiadomością o zmianach, jakie zaszły w ostatniej chwili. Zamiast wycofanego z aukcji obrazu Phipps-Stoverów, który stanowił kość niezgody między małżonkami, widniała nowa pozycja, na widok której Brad ruszył po drugi znieawidzony garnitur od Brooks Brothers.

- Bradford! Przyszedłeś! - Matka klasnęła z radości w dłonie. Ucałował ją w policzek, czując zapach Chanel 5, i usiadł obok niej.

Naprawdę przysłałaś mi bilet.

Będziesz reprezentować interesy rodziny, kochanie. Dopiszę cię do...

Uniosł rękę, żeby zaprotestować, zanim usadzi go w gabinecie przeznaczonym dla członka zarządu.

Mamo; przyszedłem tutaj, bo po pierwsze jestem twoim synem, a po drugie biologiem morskim. Popieram budowę akwarium, bo dzięki niemu ludzie poznają morską faunę.

Och! - Matka spojrzała na stół, przy którym siedzieli mężczyźni w garniturach. Wszyscy mieli siwe włosy, jakby lata pracy przy biurku odcisnęły na nich piętno. - Naprawdę nie chcesz poznać członków zarządu Smith Company? Specjalnie przylecieli na moją uroczystość. Jest tu John Becker, prezes... Nie, mamo, nie chcę. - Uścisnął lekko jej dłoń. - Przyszedłem przede wszystkim po to, żeby się z tobą zobaczyć i wziąć udział w licytacji.

Weźmiesz udział w licytacji? - Uniosła brwi. - Masz pieniądze?

Tak. - Resztki ostatniego grantu plus wszystkie wyskrobane zaskórniaki jego i Jerry'ego.

Skąd? - Roześmiała się. - Nie zarabia się wiele, łapiąc martwe ryby.

Moja praca polega na czymś innym, mamó. Gdybyś kiedyś... Ciii, już zaczyna się aukcja - odparła, kierując wzrok na scenę. Prowadzący aukcję pulchny mężczyzna o tubalnym głosie ubrany w smoking uniósł obraz Jacksona Pollocka, lecz Brad nie widział mieszaniny barw i linii, z których znany był artysta, i nie słyszał oszalałych krzyków, które wybuchły z chwilą, gdy licytator podał cenę wywoławczą.

Miał przed oczami tylko kobietę, która stała po drugiej stronie pokoju pod Figowcem w długiej różowej błyszczącej sukni z włosami upiętymi w luźny koczek i lokami opadającymi na policzki.

Parris.

Odsunął talerz i znów spojrzał przed siebie.

Panna Hammond płynnym ruchem przesuwała się po sali, rozmawiając z gośćmi i wymieniając uwagi z pomocnikiem kelnera. Poprawiła bukiet kwiatów, wsadzając sobie za ucho gałązkę hibiskusa.

O Boże! Wyglądała tak pięknie jak najcudowniejszy kwiat na wyspie, delikatniej niż egzotyczne owoce, które roznosili kelnerzy. Chciał zerwać się z miejsca i podbiec wprost do niej, wyjąć kwiat z jej włosów i pieścić nim jej ciało, aż blade płatki stopią się z pastelową suknią, a on poczuje jej zapach i gładkość skóry.

Do diabła! - przeklinał w myślach niewczesne zapaty.

Licytator wziął do ręki gitarę z autografem słynnej gwiazdy, ale Brad wciąż nie spuszczał oczu z Parris. Teraz śmiała się z czegoś, co powiedział do niej jeden z gości.

- Jest piękna, prawda? - szepnęła mu do ucha matka.

-Kto?

- Parris Hammond. Wspaniale się z nią pracowało, z nią i jej siostrą.

To dlatego, że jest inteligentna i zorganizowana. Victoria zerknęła na niego z półuśmiechem.

Lubisz ją, prawda?

Brad niechętnie oderwał wzrok od Parris.

O co ci chodzi?

O nic...

Rozmawiałaś z nią o moim powrocie do firmy?

Może o tym wspomniałam.

Naciskałaś na nią tak jak na wszystkich innych? Obiecałaś jej pomoc w interesach, jeśli zrobi to, o co ją prosisz?

Powiedziałam, że znam wielu wpływowych ludzi, którzy organizują różne imprezy, korzystając z usług konsultantów. To wszystko. Zwykle nawiązywanie kontaktów w biznesie, kochanie. Wszyscy to robią.

- Ale nie tak. - Nachmurzył się, odwracając głowę. Choć wścibstwo matki złościło go, spojrzał na Parris innymi oczami. A niech to! Miała okazję zrobić świetny interes, wystarczyło tylko namówić go, żeby włączył się w rodzinny biznes. Jednak nie skorzystała z tego. Wręcz przeciwnie, robiła wszystko, żeby do tego nie doszło. Odmówiła mu pomocy w kreowaniu wizerunku biznesmena i musiał sam się męczyć, wiążąc ten przeklęty krawat.

Mógłby się założyć, że postąpiła tak, ponieważ go lubi. I dlatego, że jest uczciwa. Nie chciała wpędzać go w niechcianą sytuację. Jackie miała rację. Parris jest nie tylko uczciwa, ale i delikatna.

Dlaczego się uśmiechasz? - spytała Victorią.

Nie zrobiła tego, o co ją prosiłaś, mamó.

I to jest powód do radości?

Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłem. - Rzucił serwetkę na stół i wstał. - Postanowiłem właśnie podnieść proponowaną przeze mnie stawkę.

Siedem tysięcy dolarów po raz pierwszy, siedem tysięcy dolarów po raz drugi. Sprzedano numerowi dwadzieścia osiem za siedem tysięcy dolarów. - Licytator wskazał na Mortona Kingmana, a potem na prawie dwumetrową rzeźbę delfina z porcelany. - Dziękuję panu.

Nie, to ja dziękuję. To dzieło będzie wyglądać wspaniale w jadalni obok szklanych manatów. - Rozpromieniony Mortie uścisnął rękę Candy.

Parris uśmiechnęła się. Aukcja szła bardzo dobrze. Proponowane sumy były wyższe, niż oczekiwano, a goście świetnie się bawili, ostro rywalizując z sobą przy licytowaniu atrakcyjniejszych przedmiotów.

Jane i Richard Worthowie zbliżyli się do niej.

- Cudowna aukcja - powiedział Richard. W jego niebieskich oczach błyszczał zachwyty po przelicytowaniu konkurenta. - Ten wazon, który kupiłem, będzie wyglądać wspaniale w mojej firmie. Jest prawie tak piękny jak moja żona.

- Objął Jane ramieniem.

W takim razie powinieneś go kupić dla mnie - powiedziała z błyskiem w oku Jane. - Ale jestem pewna, że zobaczę jeszcze coś ciekawego, zanim się skończy aukcja.

Widzę, że pomożesz mi oczyścić konto - roześmiał się Richard.

Na to liczymy - zażartowała Parris.

Małżonkowie wrócili na swoje miejsca dyskutując nad kolejnymi przedmiotami wystawianymi na licytację. Parris była szczęśliwa, że goście tak dobrze się bawią. Z drugiego końca sali Victoria uśmiechnęła się do niej triumfująco. Znakomicie. Jej klientka była także zadowolona.

Brad opuścił miejsce przy głównym stole. Jeszcze przed chwilą siedział tam obok matki. Miał na sobie inny garnitur - tym razem ciemnoszary - ale wydawał się w nim równie skrepowany jak poprzednio. Kołnierzyk koszuli znów przegrał bitwę z żelazkiem i krawatem, a sam krawat wyglądał tak, jakby chciał popęlić harakiri.

Mimo to nie mogła się oprzeć, żeby wciąż nie zerkać na Brada. Kiedy wstawał od stołu, ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Wielka, delikatnie oświetlona sala zrobiła się nagle o połowę mniejsza. Serce zabiło Parris mocniej, na chwilę straciła oddech. Czy tak będzie zawsze, gdy na niego spojrzy?

Zawsze?

Aż cóż to za myśli? Nie ma słowa „zawsze” w jej słowniku. Zresztą nigdy nie spotkała mężczyzny, który mówiłby jej na serio.

Brad był skoncentrowany na swojej karierze. Myślał tylko o tym, żeby znaleźć tajemniczą, obrzydliwą kałamarnicę olbrzymią w głębinach oceanu. Wyraźnie powiedział, że nie chce od Parris nic oprócz porad dotyczących garderoby. No i paru pocałunków.

Dobrze, wielu pocałunków.

Takich miłych.

I gorących.

Pocałunków, które sprawiały, że...

Owszem, biło jej mocniej serce. I co z tego? Na kolejce górskiej wrażenia byłyby takie same, a szkoda bez porównania mniejsza.

Jackie weszła na salę ubrana w czerwoną szyfonową suknię, ściskając w rękach torebkę.

Jak idzie?

Powinnaś leżeć w łóżku - odparła cicho Parris, prowadząc siostrę na bok.

Leżałam cały dzień i nie czuję się ani trochę lepiej.

-Przycisnęła dłoń do skroni. - Ból rozsadza mi głowę.

Wracaj do łóżka. Naprawdę sobie poradzę.

Powinam tu być, żeby ci pomóc.

Idź i o nic się nie martw. Wszystko pójdzie dobrze. Jackie uśmiechnęła się niemrawo.

Jesteś wspaniałą siostrą.

Nigdy mi tego nie mówiłaś.

To teraz powinam. Jestem ci taka wdzięczna. - Rozejrzała się po sali. - Naprawdę ci się udało.

Nam się udało. Sama bym tego nie zrobiła, siostrzyczko.

Stanowimy świetny tandem. Cieszę się, że mam cię za współniczkę.

Parris rozejrzała się po sali i dostrzegła mnóstwo rzeczy, które mogła zrobić lepiej, ale skoro siostrze się podoba, to poczuła się szczęśliwa. Może rzeczywiście ma szansę stać się prawdziwą bizneswoman.

Jackie wzięła szklanekę wody od kelnera i wypila długi łyk.

Skąd są te kwiaty? Słyszałam, że florysta nie mógł zrealizować zamówienia.

Zerwałam je dzisiaj sama. Pomyślałam, że wprowadzą miły nastrój.

Jackie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Rzeczywiście są wspaniałe.

Dziękuję. Nie uwierzysz, kto mi pomógł. Merry, kierowniczka hotelu. Co prawda narzekała przez cały czas, że słabo się czuje od gorąca. Mogłabym przysiąc, że jest podobna do kogoś, kogo kiedyś znałam.

- I chyba nie lubiłaś - roześmiała się Jackie.

Parris także zachichotała.

Raczej nie.

A co z Bradem?

To był jedyny temat, na który nie miała ochoty rozmawiać.

Trudniejszy niż załatwienie kwiatów i awaryjna zmiana menu.

- Czy nie powinnaś już się położyć?

Najpierw musisz mi powiedzieć, dlaczego on stoi tak daleko od ciebie. W tym garniturze wygląda fantastycznie, no, może z wyjątkiem brody i krawata. Ale dlaczego nie jesteście razem?

Muszę kierować aukcją.

Aukcja sama się potoczy. - Jackie położyła rękę na ramieniu siostry. - Boisz się, że Brad jest drugim Garrettem Brickwaterem?

Była zaskoczona, że Jackie wspomniała o Garretcie. To był drażliwy temat i Parris nie była dumna z tego, jak się wtedy zachowała. Kiedy Garrett zostawił dla niej Jackie, siostry przez lata nie odzywały się do siebie. Parris była wtedy zbyt egocentrycznie nastawiona i zbyt zakochana w swoim wizerunku Garretta, by zastanawiać się nad tym, jaką krzywdę wyrządza swej jedynej siostrze.

Kiedy dwa lata temu Garrett rozstał się z Parris w ostatniej chwili przed ślubem, Jackie nie powiedziała ani słowa. Od tej pory żadna z sióstr nie wymieniła nawet jego imienia.

Aż do tej chwili.

Byłam wtedy głupia - powiedziała Parris. - Popełniłam mnóstwo błędów.

To już przeszłość - odparła łagodnie Jackie. Jej słowa zabrzmiały szczerze. Może obie wydorosłały w ciągu ostatnich paru tygodni i teraz jest szansa, żeby zbliżyły się do siebie? - Sparzyłaś się, więc wolisz dmuchać na zimne.

Może masz rację - powiedziała po namyśle. - Ilu mężczyzn, których znamy, dotrzymało słowa? Tata nie, Garrett też nie. Steven.

-No tak. Jeden happy end.

Jackie położyła rękę na jej dłoni.

-Jeśli potrzebne ci gwarancje, to poszukaj licencjonowanego hydraulika. - Gdy siostra roześmiała się, dodała:

- Mówię poważnie. Happy endy są możliwe. Dla mnie i dla ciebie.

Parris spojrzała na rozpromienioną twarz Jackie, a potem na nowy pierścionek, który błyszczał na jej palcu. Zawsze mówiła z taką miłością o mężu i córce.

Zazdroszczę ci - westchnęła.

Dlaczego?

Bo masz wszystko.

Ejże... Myślałam, że nie interesuje cię rodzinne stadło. Zawsze byłaś rozrywkową dziewczyną.

Byłam, ale już nie jestem. Przyjęcia też mogą się kiedyś znużyć. - Spojrzała na salę, szukając wzrokiem Brada.

-Chcę czegoś więcej.

A więc kredyt hipoteczny i duży samochód kombi? Parris roześmiała się.

No, może bez przesady.

Dlaczego nie? Zaslugujesz na szczescie.

To nie ma znaczenia... Mężczyźni, patrząc na mnie, nie myślą o domku z ogrodem i tapetach w misie.

Może nie patrzysz na odpowiednich mężczyzn?

Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie szukaj księcia, tylko żaby. - Uśmiechnęła się. - Żaden książę nre chce wynosić śmieci.

Co będzie, jeśli się nie uda nawet z żabą?

- Jackie westchnęła, kładąc rękę na ramieniu starszej siostry.

Miłość wymaga ryzyka, Parris.

Nie będę ryzykować własnym sercem. Nigdy więcej.

Następny punkt naszej aukcji został w ostatniej chwili wstawiony do programu - zakrzyknął licytator. - I jest nadzwyczaj oryginalny.

To jej oferta. Parris weszła po schodkach na scenę i stanęła obok podium. Oczy wszystkich zwróciły się na nią. Czowała się jak zwierzak wystawiony na sprzedaż na targu.

Ta urocza dama, pani Parris Hammond, zgodziła się ofiarować tydzień konsultacji temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Ten czas może być wykorzystany na planowanie takiej imprezy jak ta lub innego równie ważnego wydarzenia. To znakomita oferta, godna najwyższej ceny. Kto z państwa rozpocznie licytację?

Tysiąc dolarów - powiedział Morton Kingman, unosząc wysoko kartę z numerem dwadzieścia osiem i uśmiechając się do Parris.

Tysiąc pięćset dolarów - odezwał się jakiś mężczyzna siedzący z tyłu, unosząc kartę z numerem siedemdziesiąt.

Głos był znajomy, ale nie widząc twarzy, Parris nie mogła go rozpoznać. Wspięła się na palce, lecz to także nie pomogło.

Dwa tysiące - zawołał Mortie.

Dwa tysiące pięćset. Mortie zmarszczył brwi

Trzy tysiące.

Trzy tysiące sto.

Parris wyteżęła wzrok, ale wciąż nie mogła dostrzec, kto trzyma kartę z numerem siedemdziesiąt. Dama w wielkim kapeluszu z piórami przesłaniała jej widok. Na sali podniósł się szmer, bo zgromadzeni goście byli podekscytowani tym, że kobieta jest wystawiona na licytację.

Trzy tysiące pięćset - powiedział Mortie.

Trzy tysiące pięćset osiemdziesiąt dolarów i... chwileczkę - słychać było brzęk monet - dziewięćdziesiąt trzy centy i jeden kawałek gumy do żucia.

Mortie ze śmiechem uniósł ręce, ogłaszając, że się wycofuje.

Candy uściskała go na pocieszenie.

- Po raz pierwszy, po raz drugi! - zawołał licytator, rozglądając się po sali, która zamarła w oczekiwaniu. - Sprzedano! Numerowi siedemdziesiąt za, a... ładną sumę i jeden kawałek gumy do żucia.

Karta z numerem siedemdziesiąt przesunęła się w prawo. Parris otworzyła usta i zamrugła z przerażenia.

Nie, to niemożliwe!

Została właśnie sprzedana Bradowi Smithowi za trzy tysiące pięćset dolarów i trochę moniaków. I jeden kawałek gumy do żucia, miejmy nadzieję, że nieużywany.

Nawet zwierzęta na targu traktuje się godniej, pomyślała smętnie.

A więc zdobył ją, to pewne. Kiedy jednak zobaczył jej twarz, nie był pewny, czy Parris dotrzyma danego słowa.

Zapłacił kasjerowi, wziął pokwitowanie za tydzień konsultacji i ruszył, by odszukać panią konsultantkę. Nie było czasu do stracenia. I, sądząc po wyglądzie jego krawata, jeszcze wiele do zrobienia.

Kiedy zbliżył się do niej, zaparło mu dech w piersi. Już z daleka wyglądała pięknie, ale z bliska była jak bogini. Różowa suknia odsłaniała wspaniały dekolt. Usta pociągnięte różowym błyszczakiem aż prosiły się, żeby je pocałować. Szyja i ramiona były posypane połyskującym talkiem, więc cała promieniała jak słońce.

Miał ochotę poczuć w ustach smak tego talku i aksamitnej skóry, która wyglądała tak cudownie. Gdyby mógł wziąć ją w ramiona i żeby chociaż raz nie odepchnęła go od siebie. Gdyby wymówiła jego imię z pożądaniem, a nie...

O czym on, do diabła, myśli? Przecież dała mu do zrozumienia, że nie jest w jej typie. Poza tym musi udowodnić, że naprawdę istnieją kałamarnice olbrzymie. Przyszedł tu tylko po to, żeby odebrać to, za co zapłacił.

Zwykła transakcja handlowa.

Ale kiedy stanął przy niej, nie myślał już o interesach. Przypomniały mu się spotkania nad brzegiem oceanu. Nie będzie mógł skoncentrować się na interesach, dopóki nie uodporni się na jej wdzięki.

Jako naukowiec wiedział, że najlepszym sposobem na to, by zdobyć odporność, jest kontakt z niebezpiecznym wrogiem. Tak, to powinno pomóc.

Jej to z pewnością pomagało. Zmarszczyła brwi, biorąc się pod boki.

- Chyba mówiłam, że nie powinniśmy umawiać się na randki - rzuciła ostrym tonem.

Wcale tego nie chcę. - No dobrze, chciał, ale nie w tej chwili.
Dlatego nie było to czyste kłamstwo.
Nie chcesz? - Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie, ale po chwili znów spojrzała na niego lodowato.
Mamy interes do załatwienia. - Uniósł kwit.
Ten dokument ma roczną ważność - odparła, odwracając się bokiem.
Nie mam tyle czasu, Parris. Nie mam nawet miesiąca. Zapłaciłem za twoje usługi i musisz je wykonać. W tym tygodniu.
Na tej wyspie.
To niemożliwe.
Dlaczego? Czy jestem taki zły? Taki beznadziejny?
- Nie - odparła niemal szeptem.
Poczuł cień nadziei.
- Nie chodzi o ciebie. Ja...
Nagle jakiś mężczyzna porwał ją w objęcia. -Parris, kochanie!
Tak się cieszę, że cię widzę!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ojciec był ostatnią osobą, którą Parris spodziewała się zobaczyć na wyspie. Powinna jednak domyślić się, że będzie chciał sprawdzić, jak ona i Jackie poradziły sobie z pierwszym zleceniem, które im przekazał. Jeffrey Hammond nie był człowiekiem, który wpadał po prostu w odwiedziny, choć córki byłyby zachwycone, gdyby poświęcał im więcej uwagi.

Często, powtarzał, że zajmuje się biznesem po to, by mieć pieniądze. Każda minuta odpoczynku była dla niego zmarnowanym czasem.

Mimo to Parris zawsze cieszyła się, kiedy mogła spotkać ojca. Tato! - zawołała. - Co tu robisz?

Chciałem zobaczyć, jak moje córki radzą sobie w pracy. - Rozejrzał się po sali i skinął głową z aprobatą. - Chyba wszystko w porządku.

- Nie zrobiłabym nic bez Jackie. Ona jest wspaniała - odparła Parris. Jej początkowa niechęć do planu ojca zmieniła się teraz w zachwyty. Jak przyjemnie odczuwać satysfakcję z dobrze wykonanej pracy! - Chciałabym ci kogoś przedstawić, tato. To jest Brad Smith, biolog morski, który pracuje na Florydzie. Ma tu stację badawczą. Brad, to mój ojciec Jeffrey Hammond.

Uścisnęli sobie dłonie.

Biolog morski, tak? Co pan bada?

Kałamarnice olbrzymie.

Jeffrey wybuchnął gromkim śmiechem.

To żart, prawda? Chyba nie ma czegoś takiego na świecie.

Są. Kilka z nich znaleziono na wybrzeżach Florydy.

Coś takiego! Cóż, nie mam nic przeciwko temu, jeśli nie ma pan żadnych planów wobec mojej córki. - Zachichotał. - Już widzę, jak muszę tłumaczyć chłopakom w moim klubie, że Parris wyszła za polawiacza kałamarnic. - Chwycił Brada za łokieć, najwyraźniej chcąc, żeby on także śmiał się z jego dowcipu.

Widziałam, jak pracuje Brad, tato. Byłam z nim na statku. To jest wspaniałe. Ty także byłbyś pod wrażeniem.

Nie tak łatwo zrobić na mnie wrażenie - odparł Jeffrey, spoglądając przychylniejszym okiem na młodego naukowca. - Ale czemu nie, jestem skłonny w to uwierzyć.

Brad uśmiechnął się.

Szkoda, że nie jest pan w komisji przyznającej granty, przed którą mam się stawić w przyszłym tygodniu. To nie będzie proste.

Komisja przyznająca granty?

- Tak. Komisja Narodowej Fundacji Badań Morskich.

Ojciec podrapał się w brodę.

- Wie pan, chyba Larry Hudson ma w tych kręgach znajomości. Pewnie mógłby panu pomóc. Jeśli pan chce, to do niego zadzwonię. Chcę zrobić przyjemność mojej córeczce. Wszystko dla jej przyjaciół.

To był cały ojciec. Kupował miłość i przywiązanie. Rozdawał hojne prezenty po to, żeby za chwilę zniknąć z poczuciem spełnionych obowiązków ojcowskich. Zawsze tak

traktował swoje córki i żony. Kupował świecidelka, a potem odchodził do następnych „planów”.

Nie miałyby za złe Bradowi, gdyby przyjął jego pomoc Potrzebował pieniędzy na badania, a ojciec właśnie mu je wręczał. Czekala, aż Brad wyciągnie rękę i uściśnie dłoń wpływowego milionera, przypieczętowując umowę.

Ale nic z tego.

Bardzo dziękuję, ale to nie jest konieczne - powiedział Brad. - Wolałbym dostać te pieniądze w uznaniu za wyniki badań. Albo je stracić. Tylko głupiec może nie skorzystać z takiej okazji.

Z całym szacunkiem, panie Hammond, ale przyzwyczailem się radzić sobie sam.

Parris miała ochotę go ucałować. Był wierny zasadom i nie uległ potędze ojca. Wolał podążać trudną drogą zamiast iść na łatwiznę. Ilu mężczyzn, których znała, zachowałyby się w ten sposób?

Żaden.

Wpływowy milioner przyglądał się Bradowi przez dłuższą chwilę. Parris czekała, aż padnie cios i nastąpi nieunikniona konfrontacja. Nikt nigdy mu nie odmawiał, chyba że miał ochotę ponieść klęskę.

To mi się podoba - powiedział wreszcie. - Ma pan charakter. Nieczęsto spotykam takich ludzi. Gdyby zechciał pan kiedyś zamienić ocean na zwykłą pracę, czekam na telefon. - Sięgnął do kieszeni i podał Bradowi wizytówkę.

Dziękuję, panie Hammond, ale nie jestem przyzwyczajony do chodzenia w garniturze.

Tak mi się zdawało - Zerknął na jego nieszczęsny krawat.

Och, spójrzenie! Jest Jackie! - Parris pomachała do sio-

stry, która właśnie weszła i z uśmiechniętą miną rozglądała się po sali. - Widocznie poczuła się lepiej, bo przedtem bolała ją bardzo głowa.

Jackie! - zawołał ojciec i ruszył do niej.

Przepraszam - powiedziała Parris, gdy Jeffrey się oddalił. - Ojciec potrafi być...

Pochodzę z takiej samej rodziny. - Uśmiechnął się.

-Przeprosiny są zbyt wiele.

W tej samej chwili licytator zarządził przerwę na krótką potańcówkę.

Teraz nasza kolej - powiedział Brad, gdy orkiestra zaczęła grać melodię „Always” i pierwsze pary pojawiły się na parkiecie.

Jak to?

- Powinniśmy zatańczyć.

-Ale ja muszę...

Szybko wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet.

- Nic się nie stanie, jak potańczymy przez pięć minut.

Był taki cudowny, że zupełnie traciła przy nim głowę.

Im dłużej go znała, tym bardziej wiara w bajkowy happy end stawała się realna.

- Czy w ten sposób chcesz mnie przekonać, że nie możesz czekać na konsultacje?

-A czy nie możemy po prostu być sobą i potańczyć przez pięć minut bez żadnych ukrytych powodów? Tylko my, Parris. Nic poza tym się nie liczy.

Nie mogła powiedzieć „nie”. I nie chciała powiedzieć „nie”.

Przez pięć minut będą tylko sobą. Tylko oni i słodka muzyka przenikająca ich na wskroś.

Brad przytulił ją tak mocno, że zrobiło się jej gorąco.

- Pochyl się ku mnie - szepnął. - I tańcz.

Nie chciała się zgodzić, bo nawet tu, na parkiecie, oznaczałoby to, że musi mu zaufać. Brad nie prosił o nic więcej. Trzymał ją lekko w pasie i kołysał.

Zrobiła pół kroku naprzód, potem jeszcze pół, pochyliła się i oparła na jego ramieniu głowę. Pachniał oceanem jak człowiek, który pływa, żeby zarobić na życie, a nie jak ktoś, kto spędza całe dni za biurkiem z wymanikiurowanymi dłońmi i lodowatym sercem. Był taki ciepły i prawdziwy.

Zapomniała o tym, że ma cokolwiek nadzorować, i poddała się muzyce. Jej ciało bezbłędnie odczytywało wszystkie przekazywane przez Brada sygnały. Zbliżyła wargi do jego szyi, wdychając męski zapach.

- Parris - szepnął, odwracając ku niej twarz. Jego usta znalazły się tuż przy niej.

Dotknęła wargami jego ust. Poczowała smak gorących nocy spędzanych w splecionych prześcieradłach. Zanurzyła palce w jego włosy, pragnąc jeszcze więcej.

O Boże! Parris, jesteś cudowna.

Staram się - szepnęła.

Czasem doprowadzamy się do wściekłości - powiedział, wzdając palcem po jej brodzie.

Chyba nie powinniśmy się spotykać.

Zawsze są z tego kłopoty.

Patrzyła na jego poruszające się wargi i pragnęła tylko znów ich dotknąć.

Tak, kłopoty.

Spotkamy się jutro na plaży? - spytał, wyraźnie nie przejmując się żadnymi kłopotami.

Po co? - Czowała zamęt w głowie.

Żeby udzielić mi pierwszej lekcji.

Nie potrafię niczego cię nauczyć.

Melodia skończyła się i orkiestra zaczęła grać jakiś skoczny utwór.

- Nie zgadzam się. - Przesunął palcem po jej wardze. -
Wcale się nie zgadzam.

Nie przyjdzie. Teraz wiedział, że Parris nie przyjdzie. Pół godziny czekał na plaży przy hotelu. Ależ był głupcem, myśląc, że przyjdzie.

Ich pocałunek na przyjęciu był cudowny, ale łatwiej byłoby odnaleźć mityczną syrenę; niż zrozumieć, co myśli Parris Hammond.

- Szukasz kogoś?

Odwrócił się. Wyszła z wody i stała za nim w purpurowym bikini tak skąpym, że stróże prawa powinni ocenić to jako złamanie norm przyzwoitości.

Nie spodziewałem się, że będziesz pływać - powiedział, odzyskując wreszcie głos.

A ja nie spodziewałam się, że przyjdiesz tak wcześnie. - Założyła ręce na brzuchu, co jeszcze bardziej podkreśliło kształt jej biustu. O Boże! To było bardzo niebezpieczne. Przepraszam. Nie mogłem się doczekać, kiedy zaczniemy konsultacje - powiedział, starając się nie patrzeć na jej dekolt. Musiałam trochę popływać, żeby się odprężyć.

Ktoś cię zdenerwował?

-Tak. Pewien biolog morski jest bardzo natrętny. -Uśmiechnęła się krzywo. - Nie mogę się go pozbyć.

- Może ci pomóc?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym wzięła głęboki oddech, robiąc bardzo poważną minę. Schyliła się, eksponując jeszcze bardziej swoje wdzięki, i wzięła leżący na

piasku ręcznik. Kiedy obwiązała się nim, atrakcyjne widoki się skończyły. A niech to!

Zabieramy się do pracy?

Do pracy? - powtórzył, wpatrując się tępo w różowo-białą kratkę na ręczniku.

- Nad twoim wizerunkiem, nie nad moim ciałem.

-Atak, tak.

- Już widzę, od czego zaczniemy. - Dotknęła jego T-shirta. -

Koszulki z napisem „Kałamarnice są świetnym partnerem do gry w brydża” nie zjedną ci zwolenników.

Spojrzał na T-shirt kupiony pięć lat temu na zjeździe biologów morskich.

Dlaczego?

To zbyt infantylne.

Uważasz, że jestem infantylny? Parris głośno westchnęła.

Tego nie powiedziałam.

- Uważasz, że moje ubrania są zbyt infantylne?

Uniosła rękę.

Sam widzisz, nie uda nam się z sobą pracować. Nikt nie wprowadza mnie z równowagi tak jak ty.

Zabawne, bo często myślę to samo o tobie.

To po co to robimy?

- Bo uczciwie zapłaciłem za twoje konsultacje.

Wymamrotała parę nieeleganckich słów na temat niewysublimowanego gustu biologów morskich.

I ty mnie potrzebujesz - dodał.

Nieprawda - zachnęła się.

Zagubiłaś się, Parris Hammond.

Wycelowała w niego palec, jej wzrok pałał z oburzenia.

Dobrze wiem, gdzie jestem. Ośrodek La Torchere na Florydzie. Mogę wskazać go na mapie i podać długość i szerokość geograficzną, nawet jeśli mój kolor włosów może nasuwać wątpliwości co do poziomu mojej inteligencji.

Oho! Werbalny rottweiler. Za małe ząbki, by ugryźć, ale słowem zaatakuję jak nikt inny. Przecież nigdy nie mówiłem, że jesteś głupia.

Przepraszam. Większość ludzi myśli...

- Większość ludzi się myli.

Zarumieniła się i nie powiedziała ani słowa.

Jesteś mądrą kobietą. I znasz różne mądre słowa - droczył się. Przystaniesz?

Nigdy. Nie przestanę, nawet kiedy już starzy i siwi będziemy siedzieć w bujanych fotelach na ganku.

Co to znaczy? Czy Brad myśli o małżeństwie?

Dwa tygodnie temu nawet nie przyszłoby mu to do głowy.

Brad Smith sam dyktował warunki. Sam wyznaczał sobie godziny pracy. Był odpowiedzialny tylko przed sobą. Ale teraz, patrząc na jej oczy i usta szeroko otwarte ze zdziwienia, pomyślał, że chętnie przymierzyłby się do tego.

Małżeństwo.

Może to nie były takie kajdany, jak sądził?

Co do szortów - powiedziała Parris, kiedy doszła już do siebie i postanowiła udawać, że nic się nie stało - myślę, że są w porządku, chociaż mogłyby być bardziej dopasowane.

Bardziej dopasowane - powtórzył, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

A buty...

W tym momencie stracił wątek. Docierały do niego tylko pojedyncze słowa: „półbuty”, „mokasyny” i „płaski

przód". Wpatrywał się w jej usta rozchyłające się w trakcie mówienia. Mówiła wyłącznie o nim. Bez protestów dałby przebrać się w tiulową spódniczkę i śniegowce, byle tylko wciąż myślała o nim.

Zgadzasz się, Brad?

Tak... a na co?

Mężczyźni! - wymamrotała pod nosem. - Chcesz pojechać jutro promem na zakupy?

Zakupy? - jęknął. Żadne inne słowo nie wzbudzało tyle strachu w mężczyźnie.

Obiecuję, że obędzie się bez bólu. Na pewno ci pomogę.

W przymierzami też?

Jesteś niepoprawny. Nic dziwnego, że najlepiej się czujesz w towarzystwie ryb.

Zakupy z Parris? To nie był zły pomysł.

- Nie mam pieniędzy na zakupy. Wydałem wszystko na coś, co było mi bardzo potrzebne. - Nie dodał, że na nią.

Nazywasz się Bradford Smith, prawda? Z tych Smithów? -Tak. To choć raz w życiu zrób użytek z tego nazwiska.

- Nie, to wykluczone.

Chwyła go za ramię.

Chcesz dostać fundusz na badania, prawda?

Oczywiście.

Nie dostaniesz nic, mając na sobie T-shirt z napisem „Kałamarnice są najlepszym przyjacielem mężczyzny”. Będziesz rozmawiać z elegancko ubranymi facetami, zgadza się?

Tak.

A masz smoking?

Na szczęście nie. - Uśmiechnął się.

Parris znów wymamrotała kilka niecenzuralnych wyrazów.

Przez ciebie chyba się upiję.

Martini na plaży, bardzo chętnie. Westchnęła.

- Chociaż raz pozwól, żeby rodzinna fortuna pomogła ci osiągnąć cel. To nie jest grzech. Zasłużyłeś na to.

-Nie.

Wychowałeś się w tej rodzinie. Towarzyszyłeś matce w tak ważnym dla niej dniu. Byłeś na aukcji i nawet wziąłeś udział w licytacji. - Otarła dłonią twarz. - Zasługujesz przynajmniej na smoking.

Myślałaś kiedyś o tym, żeby pójść na prawo?

Ja? Nie. - Roześmiała się.

Byłabyś świetnym adwokatem. - Brad potrząsnął głową, widząc, że musi ulec jej argumentom. - Dobrze. Zapłacę naszą kartą kredytową. Ale ostrzegam cię, że robię to na własną zgubę. Jak tylko matka dowie się, że kupiłem ubrania, pomyśli, że wracam na łono rodziny i przyśle mi biurko razem z sekretarką.

To zatrzymasz biurko.

A sekretarkę nie?

Nie. Chyba że jest stara i brzydka.

No, no! Parris Hammond, czy to ma znaczyć, że jesteś zazdrosna?

Przycisnęła dłoń do piersi.

- Wysoki Sądzie, nie powiem ani słowa, które mogłoby być wykorzystane przeciwko mnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Merry wzięła głęboki oddech. Może dla tych dwojga jeszcze jest nadzieja. W magicznym telefonie obejrzała wczorajsze spotkanie na plaży Brada i Parris. Wszystko było w porządku. Dzisiaj mieli w planach zakupy. W tym na pewno Parris jest niezrównana.

Ale zaraz, co to? Na ekranie pojawiło się coś, co wróżyło nieszczęście, po czym obraz zniknął. Merry zakłęła pod nosem, potrząsając aparatem, ale komórka nie działała.

- A niech to diabli! - wymamrotała.

Tak czy inaczej, szykują się kłopoty. Coś przeszkodzi w rozkwicie uczucia Parris i Brada.

Merry spojrzała na listę rzeczy, które miała do zrobienia. Czy uda jej się wymknąć na prom, żeby interweniować, gdy zajdzie potrzeba?

Nie ma mowy, żeby ta para zmarnowała jej ciężką pracę. Przez całe popołudnie zrywała z Parris kwiaty na tej przeklętej wyspie i potem długo musiała moczyć nogi w wodzie z solą.

Znów spróbowała uruchomić telefon. Nic z tego. Czasem zastanawiała się, czy zamiast niego nie powinna mieć magicznej kuli i tablicy do przekazywania znaków.

- Wyglądasz dzisiaj bardzo porządnie - powiedział Jerry, gdy przyszedł do pracy o siódmej rano. Brad spojrział na swój golf i ciemnogramatowe szorty. Prezent od matki pod choinkę, który znalazł wczoraj wieczorem nierozpakowany w szafie, przekopując się przez T-shirty, postrzępione szorty i zniszczone tenisówki. Wzruszył ramionami. Wcale nie.

Akurat. - Jerry podszedł bliżej. - Przysztrygłeś chyba brodę? Próbowałem. Niezbyt dobrze mi wyszło, bo nie robiłem tego od miesiący. Może powinienem ją zgolić?

Chcesz pozbyć się tego futra? Masz je, odkąd poznałem cię na studiach.

Starzeję się.

To tym bardziej powinieneś ukryć zmarszczki. - Jerry stuknął go w ramię.

Cha, cha. - Brad zerknął na swoje odbicie w stalowym blacie kuchni. - Myślisz, że kobiety wolą ogolonych mężczyzn?

Masz na myśli kobietę o imieniu Parris?

Skąd o niej wiesz?

Nie pamiętasz, że poznałem ją na „Tabitha s Curse”? Nie jestem ślepy ani głuchy. Poza tym twoja matka była tu wczoraj po południu, kiedy poszedłeś pobierać próbki, i piała z zachwytem nad tym, jaką świetną dziewczyną byłaby dla ciebie panna Hammond. Dobry materiał genetyczny!

- Moja matka tu przyszła?

Jerry wzruszył ramionami.

- Może chciała pospieszować? Albo interesuje ją to, co robisz?

- Znając moją matkę, to pierwsze jest bardziej prawdę podobne.

Jerry nalał wody do dzbanka i zaparzył kawę.

- Dlaczego zawsze myślisz o najgorszym? Choć muszę przyznać, że ostatnio masz w sobie więcej energii. I nie mam na myśli tylko pracy.

Brad spojrział w okno.

Bo świeci słońce.

Tak, tak. - Jerry się uśmiechnął. - To kiedy się z nią spotkasz?

Brad wiedział, że nie uda mu się ukryć nic przed Jerrym. Pracowali już z sobą dwa lata i bardzo się zaprzyjaźnili.

Za godzinę na promie. Przedtem chciałem popracować trochę przy mikroskopie.

Jest już nastawiony. Wiedziałem, że zaraz do niego siądziesz.

Czy testy DNA dla pierwszej próbki są już gotowe? -Nie chciał robić sobie zbyt wielu nadziei, dopóki nie będzie naukowego potwierdzenia, że znaleźli szczątki kałamarnicy olbrzymiej.

Za parę dni. Ale na pewno będą przed twoim spotkaniem z komisją.

Będę ci bardzo wdzięczny.

Możesz się zrewanżować. Skoro nie mam dziewczyny, to przynajmniej chciałbym posłuchać o twojej. Tylko nie pomiń najciekawszych szczegółów, bo wyrzucę twoje próbki do rzeki.

Nie ma o czym opowiadać. Parris nie jest moją dziewczyną.

Pomaga mi tylko przygotować się do prezentacji przed komisją.

Jerry westchnął.

Tak, tak. Przecież widzę, że ci się podoba. Nawet próbowałaś wyprasować dziś kołnierzyk. Dla mnie i dla Gigi nigdy tak się nie starasz. - Gdy suka zaszczekała, by potwierdzić tę opinię, dodał: - Uczucie to nie jest taka zła rzecz.

Ciekawe, bo mówi to ktoś, kto nie ma w domu nawet świnki morskiej.

Miałem ciebie na myśli. Ja to beznadziejny przypadek.

Ja też.

Tylko raz nie udało ci się z dziewczyną.

Ale ona była podobna do Parris. To dwa różne światy. Układa się dobrze, dopóki przebywamy na wyspie, gdzie wszystko jest magiczne, ale gdy wrócimy do rzeczywistości, to się skończy. Wszystko zależy od ciebie. Przestań szukać wymówek i zaczynaj działać.

Od kiedy jesteś takim psychologiem?

-Odkąd przestawiłem się z kawy bezkofeinowej na prawdziwą.

- Jerry nalał sobie kawy. - Naprawdę jesteś weselszy, odkąd ją poznałeś. To wystarczający powód, żeby zaryzykować. Przestań myśleć tylko o laboratorium.

- Prawdopodobieństwo, że się uda, wynosi...

Jerry zaklął pod nosem.

- Przestań być takim cholernym naukowcem, Brad. Do diabła z rachunkiem prawdopodobieństwa! Przez to główkowanie będziesz miał tylko kłopoty.

Parris wyszła z domu, gdy ojciec i Jackie nie skończyli jeszcze jeść śniadania. Siedząc z nimi przy stole, była spięta i czuła się jak nieproszony gość. Miała nadzieję, że nie wyjadą z wyspy, zanim wróci z zakupów. W marzeniach

wyobrażała sobie, że kiedyś będą stanowić wielką szczęśliwą rodzinę.

Jeszcze jedna głupia bajka, która zdarza się tylko w książkach. Tak samo jak szczęśliwe na wieki małżeństwa i mąż czyżni, którzy dotrzymują słowa.

Co prawda Jackie znalazła swoje szczęście, ale siostra była inna. Nie wychowała się tak jak Parris w domu wypełnionym stertą zabawek, którymi wciąż nieobecny ojciec spełniał wszystkie jej kaprysy, a matka uważała, że przedmioty mogą zastąpić miłość. Parris zrozumiała wtedy, że szczęście trwa tylko chwilę i znika, ledwie się zdąży rozpakować prezent. Za kilka dni wróci do domu na Manhattanie, a Brad zostanie tu ze swoimi kałamarnicami i śmiesznymi T-shirtami. Ta znajomość była głupim błędem. Wkrótce wszystko się skończy i zostanie tylko żal.

Bardzo wczesnie zjawiała się na promie. Jak to dobrze, że tym razem ubrała się rozsądnie na wycieczkę. Miała wygodne sandały na płaskim obcasie i sukienkę od Nicole Miller. Szkoda tylko, że wciąż nie przestawał dręczyć jej niepokój. Jeśli spędzi cały dzień z Bradem, to jeszcze bar dziej przywiąże się do niego.

Jeszcze bardziej? Już teraz przyciągał ją jak magnes.

Właśnie wszedł na przystań i szybkim krokiem zbliżał się do promu. Wysoki, dobrze zbudowany i mocno opalony w jasnej koszulce polo.

Miły dreszcz przeszedł jej po plecach. Miała wrażenie że jeśli zostawi Brada, to utraci część siebie w La Torchere.

Co za głupie myśli! Pewnie wylegiwanie się na słońcu zaszkodziło jej zdrowemu rozsądkowi. Może powinna ku

pić sobie krem z mocniejszym filtrem. A może przebywać częściej z Bradem?

Dzień dobry - rzuciła lekko.

Rzeczywiście dobry. Taki jasny, ani śladu mgły. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła taka dziwna gęsta mgła, kiedy ostatnio płynęliśmy statkiem.

Była tak gęsta, że aż zabłądziłam.

-Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Kingmanowie wsparli aukcję, a ty zobaczyłaś z bliska coś fantastycznego.

Mówisz o sobie czy o wielorybie?

Oczywiście, że o wielorybie. - Uśmiechnął się. - Przyniosłem ci coś. - Wyjął płaskie szkiełko z małego białego pudełka.

Co to jest?

- Dinoflagellata na slajdzie.

Parris roześmiała się.

Mężczyźni zwykle przynoszą kwiaty. Tylko ty możesz przynieść próbkę z laboratorium.

Ale nigdy mnie nie zapomnisz, prawda?

O Boże! Na pewno nie. Ta znajomość tak bardzo ją zmieniła.

Kiedy Brad wyciągnął ją z wody, rozpoczęła całkiem inne życie. Urodziła się na nowo.

Podniosła szkiełko do światła i zobaczyła zarys glonu wraz z wiciami, o których kiedyś opowiadał Brad. Przypomniała sobie tamten wieczór i pocałunek.

Parris odchrząknęła.

Co mam z tym zrobić?

Obejrzyj to pod mikroskopem. - Przesunął palcem po szkiełku.

- Wtedy już nigdy nie będziesz patrzeć z daleka na ocean.

Nie mam mikroskopu.

Hm, szkoda. Dobrze, że znasz kogoś, kto go ma.

Prom już odpływa. Powinniśmy porozmawiać o jutrzejszych planach. - Zerknęła na papiery, które trzymała w dłoni.

Brad zauważył, że Parris osłania się nimi jak tarczą. Pewnie za wszelką cenę będzie się starała, żeby ta wycieczka miała służbowy charakter. No dobrze. Najważniejsze, żeby zrobili te zakupy.

Tak, oczywiście. Przecież chodziło mu tylko o garnitur.

Myślę, że powinniśmy najpierw odwiedzić salony z męskimi ubraniami - powiedziała, wręczając mu papiery - a potem coś przekąsić i iść do fryzjera.

Do fryzjera? Nie mówiliśmy o tym, że mam ścinać włosy.

- Może trochę skrócić - zaproponowała pojednawczo.

Oglądał się co dzień w lustrze i wiedział, na co jest na rażony.

- Gdzie?

Kiedy dotknęła jego włosów, poczuł rozkoszny dreszcz na plecach.

- Z przodu i tu z boku. Wtedy będzie lepiej widać rysy twarzy i twoje oczy... - Zamilkła nagle.

-Moje oczy... co? - spytał, nie spuszczać z niej wzroku.

W milczeniu patrzyli na siebie. Ludzie mijali ich, przechadzając się po promie, ale Parris i Brad nie zwracali na nich uwagi. W La Torchere było dużo młodych małżeństw w podróży poślubnej, oni też mogli być parą nowożeńców.

- Twoje oczy są cudowne - odpowiedziała wreszcie Parris. - Jak ocean, tylko jeszcze głębsze. Tak naprawdę nie

musisz się zmieniać. Jesteś przystojny, zabawny i interesujący.

- Przygryzła wargę, jakby za dużo powiedziała.

Poczuł ciepło w sercu. Mur otaczający go od świata zniknął.

Jeszcze nikomu nie udało się to, czego dokonała teraz Parris.

Nie chodzi o to, że dotknęła jego włosów i powiedziała coś o oczach. Zajrzała w głąb niego i zaakceptowała go. Nie chciała go zmieniać na siłę. Kobieta, którą wyciągnął kiedyś z oceanu, nie była tą samą, która stała teraz obok niego.

- Jeśli tak jest, to dlatego, że skradłaś mi serce, panno

Hammond - powiedział żartobliwie, ale jego słowa wcale nie zabrzmiały jak żart.

Opuściła głowę, wpatrując się w papiery.

Kiedy prom przybije za parę minut do brzegu, musimy się spieszyć, bo mamy bardzo dużo...

Słyszałaś, co powiedziałem? - Uniósł jej brodę. - Interesujesz mnie nie tylko dlatego, że chcę zmienić swój wygląd. Chcę czegoś, co będzie trwalsze niż nowa fryzura i nowy garnitur.

Nie wiem... nie wiem, co na to odpowiedzieć.

- Powiedz to, co zwykle mówią kobiety.

-To znaczy?

Dobrze. - Uśmiechnął się. W oczach Parris wciąż błyszczał strach. Wiedział, że boi się podjąć decyzję, ale chodziło o coś jeszcze. - Zaczniemy od tego, że najpierw zaproszę cię na kolację.

Nie. - Potrząsnęła głową, cofnęła się. - Wiem, co będzie potem. Spotkamy się, będzie cudownie.

Nie ma w tym nic złego.

Może nawet pomyślisz, że się we mnie zakochałeś. Może ja też tak pomyślę. Przez jakiś czas będziemy się spotykać i snuć plany na przyszłość. A potem odzyskasz rozum.

- Odzyskam rozum? - Brad zachichotał. - Właśnie odzyskałem.
- Mężczyźni nie żenią się z takimi kobietami jak ja. Jestem kobietą trofeum. Taką, którą zabiera się na przyjęcia i pokazuje wszystkim wokół. Nikt nie wyobraża sobie, że o drugiej w nocy mogę karmić dziecko albo odwozić synków na mecz piłki nożnej.

- Czy to wina mężczyzn, czy może twoja?

Parris stanęła za pasażerami wysiadającymi z promu. W milczeniu przeszli wzdłuż mola, zbliżając się do galerii sklepów. Nie rozumiem tego, co powiedziałaś - odezwała się wreszcie. - Dlaczego to ma być moja wina?

Może przekazujesz złe sygnały?

Jestem taka, jaka jestem, Brad. Nikogo nie udaję - powiedziała, otwierając drzwi sklepu.

Uniósł brew.

- Może to ty się boisz karmienia dzieci o drugiej nad ranem i wożenia na mecze piłki nożnej i dlatego nie przekazujesz odpowiednich sygnałów. Prawdę mówiąc, nie przekazujesz żadnych sygnałów. Za każdym razem, gdy się do ciebie zbliżam, od razu uciekasz.

Podeszła do wieszaków ze smokingami, wciąż unikając jego wzroku.

Nieważne. I tak w to wszystko nie wierzę. - W co?

W te wszystkie happy endy. To się nikomu nie zdarza.

Nikomemu czy tylko tobie?

Wzięła z wieszaka czarną marynarkę i przyłożyła ją do piersi Brada.

- Wydaje mi się, że ten fason będzie do ciebie najbar-

dziej pasować. Oczywiście frak jest wykluczony. Bardziej nadaje się na ślub niż oficjalne spotkanie. Ale te zaokrąglone klapy są trochę bardziej nowoczesne i... Odłożył na bok smoking.

Parris.

Tak...? - Przełknęła ślinę, odwróciła się. - Oczywiście wszystko zależy od odpowiedniej koszuli. Najlepsza będzie taka bez kołnierzyka. Albo specjalna aksamitna koszula i krawat. To będzie coś oryginalnego. Pozwoli ci wyróżnić się tłumie.

Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

Przeszła dalej i wzięła z wieszaka białą koszulę. -Ta będzie świetna pod marynarkę, ze spinkami do mankietów i...

Chwyił ją za ramię i obrócił do siebie.

- Może trochę niezdarnie, ale próbuję ci powiedzieć, że się w tobie zakochałem.

Wieszaki wypadły jej z rąk i stuknęły o podłogę.

To... to niemożliwe.

Nie kłamię.

Prawie mnie nie znasz.

Od paru dni z nikim nie spędzam tyle czasu co z tobą. No, może z Jerrym, ale on nie jest w moim typie.

- Uśmiechnął się.

Podniosła marynarkę i koszulę, wskazała dłonią przymierzalnie.

-Musisz to przymierzyć.

-Parris...

-Umówiliśmy się, Brad. Ja dotrzymuję słowa. Skończ wreszcie te zaloty.

Potem odwróciła się i podeszła do sprzedawcy.

Niech to diabli! Bardziej niż wszyscy konsultanci i styliści razem wzięci przydałby mu się teraz oddział specjalny policji dla zakochanych. Niewiele brakuje, żeby za chwilę popełnił jeszcze większe głupstwo.

Odetchnęła z ulgą, gdy drzwi przymierzami zamknęły się za Bradem. Naprawdę powiedział, że jest zakochany? Ta myśl napełniła ją nadzieją, ale zaraz potem przyszły wątpliwości. Krążyła po sklepie, dotykając Srebrnych wieszaków i starając się opanować gonitwę myśli. Te same słowa słyszała już wcześniej od Garretta, ale cofnął je w ostatniej chwili.

Czy Brad jest inny?

Zerknęła na drzwi do przymierzalni. To nie jest mężczyzna dla niej. Zadawał zbyt wiele trudnych pytań. Wymagał od niej więcej, niż się tego spodziewała. Czy potrafi temu sprostać? I czy potrafi zaryzykować i uwierzyć, że Brad mówi prawdę? Nie może bez przerwy go ignorować i musi w końcu dać mu jakąś odpowiedź.

„Chcę ci powiedzieć, że się w tobie zakochałem”.

W Parris debiutującej w roli bizneswoman, czy w Parris, ; która ogląda z nim kraby i świecące morskie glony?

Marzenia, to tylko marzenia! Marzenia to nie rzeczywistość.

Parris umiała żyć tylko w realnym świecie. Teraz by- : li na romantycznej wyspie, gdzie szalał wirus miłości mieszający ludziom w głowach. Potem wszystko minie i ona i Brad wrócą do swoich zwykłych obowiązków.

Dlaczego w takim razie czuła w sercu taki żal?

W torebce rozległo się brzęczenie komórki.

Słucham - powiedziała.

Parris, przyjedź tu natychmiast! - krzyknęła Jackie. - Tata miał bóle w klatce piersiowej i jest w szpitalu.

Parris zniknęła. Brad wyszedł z przymierzalni, ale w sklepie było pusto.

Zostawiła go. Jeżeli przedtem miał wątpliwości, czy odwzajemnia jego uczucia, to teraz miał już pewność.

- Przepraszam pana - zwrócił się do niego sprzedawca.

- Pani kazała pana przeprosić, ale musiała nagle wyjść.

Brad zmarszczył gniewnie brwi.

Tak? Dziękuję.

Była bardzo zdenerwowana. Chciała nawet wejść do przymierzalni, ale to nie jest dozwolone. Może coś się stało?

Tak, z pewnością. - Popelnił wielki błąd, i tyle.

Czy podoba się panu smoking? Bardzo ładnie pan wygląda. -

Sprzedawca wskazał gestem lustro.

Brad odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę. Parris Hammond nie myliła się co do jednego. Wiedziała, w czym mu będzie do twarzy. Szkoda, że nie miała takiego wyczucia, jeśli chodzi o jego serce.

- Czy przestaniecie wreszcie rozczulać się nade mną?

- powiedział Jeffrey Hammond. - Powinnyście wrócić na wyspę i trochę się poopalać.

Parris przysiadła na skraju łóżka.

Nie ruszę się stąd, tato, dopóki nie będę pewna, że czujesz się dobrze.

Nic mi nie jest, dziecko. To zwykła angina i niestrawność.

Pewnie nalałem za dużo tabasco na jajka.

Jackie zachichotała.

Ty i te twoje przyprawy! Mówiłam, że się od nich rozchorujesz.

Przecież wszystko jest w porządku. - Leżąc w śnieżnobiałej pościeli, ojciec wyglądał, jakby nagle się postarzał i bardziej posiwiiał. Parris pomyślała o tym, ile czasu zmarnowali, karmiąc się gorzkimi wspomnieniami.

Nie chciała, żeby tak było dalej. Lubiła pracować z Jackie, choć pierwsze tygodnie nie były łatwe. Nie miały jeszcze wielkich sukcesów na koncie, ale nauczyły się współdziałać z sobą i zaprzyjaźniły się. To był dobry początek.

Zawsze sprawiałeś nam kłopoty. - Parris uśmiechnęła się, biorąc ojca za rękę. - Miałeś na nas zły wpływ.

Tak, wiem. - Jeffrey zafrasował się. - Naprawdę tego nie chciałem. Jestem takim niespokojnym duchem.

Kątem oka Parris zauważyła, że siostra przygryzła wargi. Rozwód nie posłużył dobrze jej matce ani matce Parris. Choć bardzo go kochały, obie oskarżały o niewierność.

Na waszym miejscu za wszelką cenę broniłbym się przed małżeństwem - ciągnął dalej ojciec. - Wszyscy mężczyźni w gruncie rzeczy są podobni do mnie. Rzucają żony, kiedy wpadnie im w oko młodsza i atrakcyjniejsza blondynka.

Tato, my... - bąknęła Jackie.

Nie broń mnie, kochanie. Jestem już stary i mogą mnie wykończyć nawet jajka. I nie przerywaj mi, bo i tak mogę odwołać wszystko, kiedy przestanie działać morfina. - Uśmiechnął się. - Wiesz, co napędza mężczyzn?

Hormony? - zażartowała Parris.

Hormony może też, ale głównie strach, że nie wypadną dobrze w oczach swoich kobiet. Wasze matki - wziął Jackie za rękę - były bardzo dobre. Nie zasłużyły na to, co

je spotkało. Rzecz w tym, że moim wielkim ciele jest płochliwe serce myszki.

Myszki? Zawsze uważałyśmy cię za lwa. Mój ojciec mógł stawić czoło całemu światu.

W biznesie lepiej ze mną nie zaczynać. Ale tutaj - puścił dłoń Parris i poklepał się po piersi - jestem największym niedołęgą, jeśli chodzi o uczucia.

Dlaczego dopiero teraz nam to wszystko mówisz? - spytała Jackie, siadając po drugiej stronie łóżka. - Dlaczego nie wtedy, gdy tak bardzo chcieliśmy to usłyszeć?

Jeffrey przełknął ślinę.

- Wiecie, dlaczego przekazałem wam ten biznes?

Potrząsnęły głowami.

- Kiedyś w sądzie, gdy podpisywałem dokumenty do czwartego rozvodu, uświadomiłem sobie, że jestem całkiem sam.

Wróciłem do pustego domu i zrobiło mi się smutno. - Znów wziął Parris za rękę. - Wy byliście jedyną dobrą rzeczą, która wynikła z moich związków. Moje eksżony nienawidzą mnie i mają rację, ale dla was, córeczki, zawsze byłem tatą, nawet jeśli przyjeżdżałem tylko na święta i wakacje.

Parris położyła dłoń na ich splecionych rękach.

- Jesteśmy rodziną. Na dobre i na złe.

Niebieskie oczy Jeffireya zaszyły mgłą.

Tak, to prawda. Dlatego chciałem połączyć nas tak, jak umiałem. W biznesie.

Rzuciłeś nas na pożarcie rekinom, tato - powiedziała Jackie. - Z początku w ogóle nie wiedziałyśmy, co robić.

Ale dałyście sobie radę. Jesteście wspaniałe, co napawa mnie dumą. Wszystkim wokół powtarzałem, że ta aukcja to dzieło moich córek.

Parris napotkała spojrzenie Jackie i siostry uśmiechnęły się do siebie. Choć nie obyło się bez problemów, wszystko w końcu się udało. Zebrały nawet dwadzieścia tysięcy dolarów więcej, niż to było w planach.

-Musicie wiedzieć, że jesteście dla mnie najważniejsze.

Nie chcę was stracić i wy też musicie się trzymać razem.

Parris uśmiechnęła się przez łzy.

-To znaczy, że jesteśmy skazane na siebie?

-Tak.

Jackie wyznała żartobliwie:

-Jakoś wytrzymam. Parris nie jest taka zła.

-Hej! - Parris stuknęła ją w ramię. - Taka wzruszająca chwila, a ty jak się zachowujesz?

Jackie potarła ramię, udając że się krzywi z bólu.

- Tak jak trzeba - odparła, wybuchając zaraźliwym śmiechem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Brad wrócił do domu, dźwigając wszystkie zakupy, które umieściła na swej liście Parris. Był nawet u fryzjera, który przykładał się do jego fryzury, jakby to było dzieło sztuki. Dla mężczyzny, który poświęca dwie sekundy dziennie swoim włosom, było to niebywale wydarzenie.

I miał nadzieję, że nigdy już się nie powtórzy.

Karta kredytowa była nieźle obciążona, bo kupił smoking, buty, dwie pary spodni i kilka koszul do noszenia bez krawata. Zakupy nie były trudne, bo Parris napisała dokładnie, jakie powinien posiadać stroje i załączyła nawet zdjęcia z magazynów mody. To nie była najmiłsza rozrywka, ale też nie taki koszmar, jak się obawiał.

Prom zbliżał się do wyspy, ale Parris nie było na nabrzeżu. Nie wróciła do sklepu, nie przyszła do fryzjera, pewnie w ogóle nie chciała go już widzieć. Zepsuł wszystko. Wystraszył ją. Zniechęca oświadczył, że ją kocha, i wywołał zamęt.

Wysiadł z promu i przez chwilę zastanawiał się, czy ma iść do pracy, czy też...

Pójść prosto do hotelu, odnaleźć Parris i spróbować wszystko naprawić. Powinna wynagrodzić mu to, że cierpiał tak długo u fryzjera.

W zielono-kremowej recepcji hotelu było gwarno. Go-

ście przybyli na aukcję rozjeżdżali się do domów, a nowo przyjezdni załatwiali meldunek.

Pan Smith! Ledwie pana poznałem, nowa fryzura i bez brody. - Morton Kingman wyciągnął do niego rękę.

Miło mi pana znów spotkać - powiedział Brad, ściskając jego potężną dłoń. Jaskrawo turkusowo żółty strój Mortiego wprost raził w oczy. Chyba Parris nie doradzała mu w kwestii ubrań. - Wyjeżdża pan?

Jadę na trochę do Europy, zanim wykończą mnie tutejsze upały. - Klepnął Brada po ramieniu. - Wie pan, proponowałem, że wstawię się za panem na komisji, ale wycofuję się.

Wycofuje się pan? - Brad zamrugał. - Nie miałem zamiaru trzymać pana za słowo, ale ciekaw jestem, co się stało.

Wiem, że ma pan swoje zasady i tak dalej - powiedział Mortie. - Szanuję to. Ale wiem też, jak pracują te komisje. Potrzebne im są błyskotki, a pana praca jest po prostu fascynująca. Czytałem trochę na temat Architeuthis.

Czytał pan o kałamarnicach olbrzymich?

Tak. To jedne z największych zwierząt na kuli ziemskiej. Może nie najładniejsze - roześmiał się - ale niesamowite. Znalazł pan jakieś dowody na ich istnienie?

Nie chcę się za wcześnie cieszyć, bo wyniki DNA będą może jutro lub pojutrze, ale...

Tak? - Mortie miał wyraz twarzy dziecka, które czeka na prezenty spod choinki.

W zeszłym tygodniu podczas nurkowania znalazłem próbkę tkanek.

-Niewiarygodne! A więc jednak istnieją naprawdę... Zdumiewające! Dałbym dużo, żeby móc kiedyś zobaczyć, jak pan pracuje.

Obawiam się, że to niezbyt ciekawe, panie Kingman. Trzeba długo siedzieć z kamerą i czekać na szczęście, żeby odkryć cud.

Nie zgadzam się tak samo jak panna Hammond. Mówiła, że obserwowanie kamery poruszającej się w oceanie jest fascynujące. Wspominała też, że chce pan zainstalować kamerę na grzbiecie kaszalota.

Brad wzruszył ramionami.

To moje marzenie, ale na to potrzebne są fundusze. Duże fundusze. Niestety wielu naukowców ubiega się o te same pieniądze.

To prawda. - Mortie stuknął palcem po brodzie, taksując wzrokiem Brada. - Ale nikt nie ubiega się o moje pieniądze.

Pana pieniądze? Co to znaczy?

Chciałbym pana sponsorować, ale pod jednym warunkiem.

Zabierze mnie pan kiedyś na wyprawę. Zawsze chciałem poobserwować ocean z bliska, a pan to robi każdego dnia.

To bardzo hojna oferta, panie Kingman. Nie mogę...

Ależ może pan. Wystarczy się zgodzić. Moja fundacja przyzna panu grant, który będzie co roku odnawiany, jeśli pana odkrycia będą interesujące. Musi pan zapracować na swoje pieniądze. - Mortie mrugnął porozumiewawczo.

- Co pan na to?

Cudownie! - Brad nie mógł ukryć zachwyty. - Ale... nie chce pan obejrzeć najpierw wyników moich badań i oficjalnej prezentacji?

Nie. Rozmawiałem z Parris Hammond podczas aukcji. Z takim entuzjazmem zrelacjonowała mi wycieczkę statkiem wieloryb-
niczym. Powiedziała, że tego dnia naprawdę

zakochała się w oceanie. - Mortie uśmiechnął się. - Chyba nie tylko w nim.

W piersi Brada zrodziło się dziwne uczucie. Nadzieja. Może Parris uciekła nie dlatego, że nie odwzajemniała jego uczuć? Może był jakiś inny powód? I może jednak ich znajomość tak szybko się nie skończy?

- Poza tym nie musi pan wkładać garnitur, żeby mnie przekonać, że jest pan mądry i przedsiębiorczy. Chętnie wezmę od pana dokumentację, żeby zarząd fundacji mógł zorientować się, komu przydzieliłem grant. Proszę przy okazji mi to wysłać. - Mortie znów klepnął go w ramię.

- No i niech pan łapie te olbrzymie kałamarnice. I syrenkę, która właśnie rozmawia z pana matką.

Nie wiem, jak panu dziękować.

Nie trzeba. Wystarczy, że podsyca pan moją fascynację oceanem. Będę się cieszyć, jeśli odezwie się pan czasem i opowie mi, co słychać.

Brad uśmiechnął się.

Z przyjemnością.

Jest pan bardzo interesującym człowiekiem. Założę się, że matka jest dumna z takiego syna.

Brad poprawił na ramieniu torbę.

Wolałaby, żebym zajmował się czymś innym. Nie marzyła o takiej karierze dla mnie.

Na pewno kiedyś zmądrzeje. Musi pan zrozumieć, ona kocha psy. - Mortie odszedł, życząc powodzenia.

Brad ruszył do recepcji. Nagle zatrzymał się, słysząc głos Parris. Odwrócił się i zobaczył ją za rzędem ustawionych w holu roślin doniczkowych. Rzeczywiście rozmawiała z matką, tak jak mówił Mortie. Zatrzymał się, słysząc fragment ich rozmowy.

- Cieszę się, że aukcja tak się udała, panno Hammond
- powiedziała matka. - Ale teraz bardziej interesuje mnie druga sprawa, o której już wspomniałam.
- Druga sprawa?

Mój syn. Słyszałam od pani Montrose, że pojechaliście na zakupy. Czy Brad kupił jakieś oficjalne stroje?

Pomagałam mu, ale z innych powodów, niż pani myśli.

Bardzo chciałabym, żeby zachęciła go pani do koniecznych zmian w karierze. Obie dobrze wiemy, że Brad mógłby wykorzystać lepiej swe zdolności zamiast zajmować się martwymi rybami.

On lubi tę pracę.

Ale ja nie. Jeśli przekona go pani, na pewno się odwdzięczę. Parris wyprostowała się dumnie, a na jej policzkach ukazały się rumieńce.

Jestem pewna, pani Smith, że pani oferta jest korzystna, zwłaszcza że moja firma musi zdobywać klientów, gdyż dopiero niedawno rozpoczęliśmy działalność. Ale dzisiaj dowiedziałam się czegoś właśnie od pani syna. Praca, którą się lubi, i przebywanie z ludźmi, których się kocha, jest ważniejsze od pieniędzy.

To bajki! - parsknęła Victoria.

Kiedyś też tak myślałam, ale to nieprawda. Zebrała pani pieniądze na budowę akwarium, ale nigdy pani tego nie doceni. Wie pani dlaczego? Bo nie widziała pani tych zwierząt z bliska. A ja tak. Patrzyłam, jak kaszalot podpłynął do naszego statku i otarł się ogonem o kamerę. Dotykałam kraba i zanurzyłam rękę w wodzie, gdy przepływała ławica rybek, widziałam magiczne światelka, którymi rozblýski-

wały glony. To wszystko zawdzięczam Bradowi i tym jego rybom, którymi pani tak pogardza, a które on kocha. Powinna pani ostrożniej się wyrażać, moja droga. Wystarczy, że szepnę komuś słówko, a pani kariera będzie zagrożona. Obracamy się w tych samych kręgach. - Victoria przytuliła Kay-Kaya do piersi. - Ale gdyby chciała pani, żeby jej pomóc...

Czasem cena jest zbyt wysoka - odparła Parris. - Życzę pani powodzenia w budowie akwarium. - Odeszła, zostawiając Victorię Catherine Smith oniemiałą z wrażenia.

Brad zaczekał, aż matka dojdzie do siebie, i dopiero wtedy się zbliżył. Domyśliła się, że słyszał wszystko. Gestem dłoni wskazał, by wyszli na zewnątrz.

-To, co słyszałeś... - zaczęła mówić, gdy już szli po trawniku. Wystarczy, mamó. Nie będę pracować w twojej firmie. Nigdy. Jestem szczęśliwy, prowadząc swoje badania i decydując o własnym życiu. Możesz wierzyć albo nie, ale robię coś potrzebnego. - Odetchnął głęboko, by pohamować gniew. Wiedział, dlaczego matka wciąż nie dawała za wygraną. - Zrozum, nie mogę zastąpić taty. Pora się z tym pogodzić, mamó. Wcale nie chcę... - Opuściła głowę, przyciskając wrywającego się KayKaya.

Chcesz. Tata nie żyje od trzech lat. Na pewno byłby przeciwny temu, żebyś robiła coś na siłę. Sprzedaj firmę. Nie utrzymuj jej ze względu na mnie.

Mam ją sprzedać?

- Tak. I rób to, co lubisz. To wspaniałe uczucie.

Matka potrząsnęła głową.

- Chodzi mi o twoje dobro, Bradford.

Podał jej ramię i poszli w kierunku plaży.

- Wiem, mamó, ale nie potrafisz mnie zrozumieć.

-I nigdy cię nie rozumiałam?

- Nie można ludzi do niczego zmuszać, bo albo ich się złamie, albo sprowokuje do wciąż rosnącego oporu.

Puściła jego rękę.

Masz mnie dosyć, prawda?

Wcale nie. - Objął ją ramieniem. Nagle zrozumiał, jak ciężko przeżywał te lata, gdy prawie nie utrzymywali z sobą kontaktów.

Zniszczyłam twój związek z Parris?

Pogodzimy się jak wszyscy zakochani.

Czy wiesz, dlaczego chciałam zbudować to akwarium, Brad?

Tu, na tej wyspie?

Żebyś mogła być blisko i mnie kontrolować?

No... w pewnym stopniu. Ale nie tylko dlatego. Postanowiłam zebrać pieniądze na akwarium, a nie schronisko dla psów czy muzeum sztuki, bo chciałam, żeby coś nas połączyło. - Postawiła psa na ziemi.

Połączyło?

Tak bardzo różnimy się od siebie, jakbyśmy nie należeli do jednej rodziny - odparła cicho. - Myślałam, że może dzięki temu będziemy mieć wspólny temat do rozmowy.

Na twarzy Brada pojawił się uśmiech.

- Bardzo słusznie. - Wziął matkę za rękę i poprowadził ją nad wodę. - Teraz pokażę ci mój świat, mamó.

Kiedy schyliła się nad błękitną taflą, wiedział już, że może nawet między nimi nie/wszystko jest stracone.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Szukała Brada od chwili powrotu na wyspę. Zaszła do laboratorium, ale Jerry nie wiedział, gdzie go szukać. Gigi przywitała ją jak dobrą znajomą, wymachując radośnie puszystym ogonem. Parris chciała zawiadomić Brada, że musi jechać do szpitala, lecz jej się to nie udało.

A teraz z ciężkim sercem stała przy recepcji, bojąc się nawet myśleć, co on może czuć.

- Parris!

Odwróciła się. Jackie zbliżała się do niej szybkim krokiem, wymachując jakąś kartką.

- To do ciebie. Przez przypadek przynieśli list do mojego pokoju.

Spojrzała na dokument.

Zaproszenie na romantyczne spotkanie nad brzegiem oceanu? - Zerknęła na siostrę. - To od Brada.

Przecież nie od kelnera. - Jackie mrugnęła porozumiewawczo. Muszę... muszę iść się przebrać.

Po co? Wyglądasz świetnie. Ten kostium jest...

Do niczego. - Ścisnęła papier w dłoni. - Wszystko jest do niczego, ale zaraz to naprawię.

Gigi wyciągnęła się leniwie na posłaniu, które przygotował dla niej Brad. Wyglądała na znacznie bardziej zrelaksowaną niż jej pan, który po raz trzeci ustawiał na krzasiastym kocu kieliszki do szampana i wspinały bukiet kwiatów.

- Cześć!

Odwrócił się.

Parris stała pod palmami, uśmiechając się do niego.

- Jesteś - powiedział, czując ogromną radość w sercu.

Przepraszam, że tak nagle wyszłam ze sklepu. Powinam była ci powiedzieć, że mój ojciec został zabrany do szpitala. Wybiegłam, nie zastanawiając się nawet, co robię.

Jak się czuje tata?

- Już dobrze. Miał atak anginy i zaszkodziło mu tabasco.

- Zbliżyła się, nie spuszczać z niego wzroku. - Bardziej martwię się o nas.

O nas? Od kiedy jesteście razem?

Odkąd wyciągnęłaś mnie z wody. - Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do piersi.

Wiesz, że jesteś w moim sercu.

Od tego pierwszego dnia? Brad zachichotał.

No, może nie od pierwszego. Przysunęła się, dotykając jego twarzy.

Wyglądasz zupełnie inaczej w nowej fryzurze i bez brody.

Lepiej?

Mm, inaczej. - Uśmiechnęła się, przesuując dłoń po klapach marynarki. - Włożyłeś smoking?

Postanowiłem zrobić wszystko, żeby cię oczarować.

Nie musisz tego robić. Oczarowałeś mnie od pierwszej chwili, i wcale nie wyglądem, lecz mądrością. - Wzięła oddech, a

Brad poczuł błysk nadziei. - Znałam wielu bardzo

przystojnych mężczyzn, którzy tak naprawdę nie mieli nic po powiedzenia. Ty jesteś inny. Masz swoją pasję. Lubisz ludzi. Dlatego się w tobie zakochałam. Brad chwycił jej dłoń.

Zakochałaś się...

Tak. - Uśmiechnęła się. - Tylko nie tak szybko to zrozumiałam.

Nie tak szybko. - Brad także się uśmiechnął.

Hej, nie igraj z ogniem. - Przyciągnęła go do siebie, trzymając za klapy marynarki. - Myślałam, że włożysz smoking na wystąpienie przed komisją.

To nie jest już potrzebne. Ty też nie jesteś mi potrzebna. - Potrząsnął głową. - Przepraszam, tracę rozum, kiedy jesteś blisko mnie.

Tak? - Zbliżyła wargi do jego ust.

Właśnie tak. - Patrzył na jej błyszczące rozchyłone wargi, pragnąc porwać ją w ramiona. Ale musiał powiedzieć jej coś ważnego, zanim całkiem oszaleje.

A więc nie jestem ci potrzebna? - spytała z nadąsaną miną.

Och, jesteś! Chciałem powiedzieć, że nie są mi potrzebne konsultacje.

- Nigdy nie były. I tak jesteś fantastyczny.

Ujął jej twarz i przesunął kciukiem po ustach.

Jesteś jedyną kobietą, która nigdy nie chciała mnie zmieniać.

Ale musisz pozbyć się tego smokingu - powiedziała, pociągając go za krawat, który wiązał przez godzinę.

Z przyjemnością. A dlaczego?

Bo przedtem bardziej mi się podobałeś. - Rzuciła krawat na koc i zaczęła rozpinąć koszulę Brada. - O wiele bardziej.

Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, moja damo. -Pomógł jej rozpiąć guziki przy koszuli.

Zaczekaj. - Zatrzymała się na ostatnim guziku. - Dlaczego nie potrzebujesz już konsultacji? A komisja?

Dostanę grant z innego źródła. Fundacja Kingmana będzie wspierać moje badania naukowe. - Uniósł jej brodę.- I za to muszę ci podziękować.

Nie rozumiem. Opowiedziałam tylko Mortiemu o wycieczce statkiem wielorybniczym.

Tylko? Jesteś prawdziwą specjalistką od kreowania wizerunku. Za to muszę ci specjalnie podziękować.

Całował długo, dziękując po tysiącokroć, a Parris nie zostawała mu dłużna.

- Kocham cię - szepnął. - Kocham cię taką, jaka jesteś.

Serce zabiło jej radośnie. Brad był mężczyzną, który dotrzymywał słowa. On jej nie okłamał.

Ja też cię kocham.

Wszystko jedno, co mam na sobie?

-Wszystko jedno. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale mam dla ciebie niespodziankę. Trochę nie pasuje do tego, co włożyłeś dziś na siebie. - Rozpięła guziki białego żakietu i rzuciła go na piasek. Miała teraz na sobie T-shirt z napisem „Jestem fanką ryb” i wystrzępione džinsowe szorty. Przez całe popołudnie biegała po sklepach z pamiątkami, żeby kupić taki podkoszulek, ale ten wysiłek był wart zachwytu, jaki widziała teraz w oczach Brada.

- Zdziwiasz mnie, Parris Hammond. - Roześmiał się.

-I tak będzie zawsze, mój drogi. Zmieniłam się przy tobie na lepsze. - Przycisnęła dłoń do serca. - A może na gorsze - dodała z błyskiem w oku, pociągając za swój T-shirt.

- A ja tak się dla ciebie wystroiłem!

- Ale tak naprawdę nic się nie zmieniłeś.

Roześmiał się i jednym, ruchem zrzucił z siebie koszulę,

- Żebyś wiedziała, Parris.

Zerknęła na T-shirt z napisem „Kałamarnice są najlepszym przyjacielem mężczyzn” i wpadła w objęcia Brada. To cudowne! Nie było już księżniczki i łowcy kałamarnic.

Była ona i Brad, i właśnie zaczynało się dla nich nowe życie, tu, nad brzegiem oceanu.

Merry z westchnieniem wyprostowała się w fotelu. Zamknęła telefon komórkowy i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Znow się udało. Dziewiętnasty happy end. Jeszcze dwa i skończy się wreszcie jej katonga. Odzyska młodość i nie będzie musiała męczyć się w gorszej i przeciwzylakowych rajstopach. Już niedługo zniknie kłątwa.

Wprost trudno uwierzyć, że udało jej się połączyć Parris z

Bradem. Następne zadanie z pewnością okaże się łatwiejsze.

A jeśli nie, to przecież jest w zanadru zestaw magicznych przedmiotów - tablica do przekazywania znaków i czarodziejska kula.